

James Gunn

Nieśmiertelni

Klinika była pusta.

Harry Elliott stłumił ziewniecie idąc powoli w stronę udrapowanego stołu operacyjnego. Stół ustawiony był pod zimnym, bezcieniowym światłem w głębi dużej sali, wyłożonej antyseptycznymi, białymi kafelkami i przesyconej niewidzialnym, bakteriobójczym promieniowaniem ultrafioletowym. Zapalił palniki bunsenowskie, stojące po obu stronach stołu i włączył wentylatory, umieszczone pod freskiem przedstawiającym Nieśmiertelność, która zabija Śmierć strzykawką lekarską. Powietrze, płynące bezpośrednio z Centrum Medycznego, było czyste, wolne od bakterii i pachnące szpitalnym kadzidłem - alkoholem i eterem. Wiedza, chirurgia i ocalenie - klinika mogła je dać każdemu według potrzeb.

Harry doszedł do wniosku, że zapewne będzie to jeszcze jeden zwykły dzień. Wkrótce rozlegnie się przeraźliwa kakofonia sygnałów, oznajmiających godzinę szóstą i fabryki wypuszczą ludzką falę w kanały między wysokimi murami. A wtedy przez godzinę czy dwie będzie miał dużo pracy.

To była jednak niezła zmiana. Był zajęty tylko między szóstą a godziną policyjną. Od czasu do czasu mógł zerknąć do Dziennika Geriatrycznego albo wyświetlić parę szpul tekstu na wewnętrznej powierzchni szkła swoich okularów. Nosił je nie po to, by lepiej widzieć i gdyby zachodziła taka konieczność, używałby szkła kontaktowych, ale dlatego, że dobrze nadawały się do projekcji i wyglądało się w nich poważniej i bardziej dojrzałe.

Dla osiemnastoletniego Harrego miało to duże znaczenie... Niedziela była paskudna. Ale niedziela dla każdego była paskudnym dniem.

Byłby szczęśliwy gdyby miał już to wszystko za sobą. Jeszcze tydzień znowu będzie pracował w środku. Jeszcze sześć miesięcy i spełni wszystkie wymogi stałego zatrudnienia w Centrum. Gdy tylko komisja go zaakceptuje, a nie wątpi, że tak właśnie się stanie, skończy wreszcie z kliniką. Nieść lekarstwa masom - owszem, to była bardzo piękna idea, o tym zresztą między innymi mówiła przysięga Hipokratesa, ale przecież lekarz powinien myśleć praktycznie. Przecież nie sposób zapewnić opiekę medyczną wszystkim. Leczenie jednemu zapalenia ucha, a drugiemu trypra było równoznaczne z wylewaniem antybiotyków do rzeki. Rezultaty były niezauważalne. Z osobami, które miały szansę na nieśmiertelność, sprawa wyglądała inaczej. W tym przypadku ratowanie

życia miało jakiś sens. Mogło mu nawet przynieść odroczenie, wtedy, gdy będzie go potrzebował. A takie odroczenia mogą przekształcić się w nieśmiertelność.

Perspektywy były jednak niezbyt różowe. Najlepszym sposobem byłoby wymyślenie czegoś, dzięki czemu stałby się człowiekiem, którego warto zachować. Wtedy wdzięczni elektorzy będą głosować za przyznaniem mu nieśmiertelności. Właśnie dlatego Harry postanowił specjalizować się w geriatrici.

Najważniejsza była synteza. Świat nie mógł być ciągle uzależniony od Cartwrightów. Byli zbyt egoistyczni. Woleli ukrywać swą przypadkową nieśmiertelność, niż w regularnych odstępach czasu ofiarowywać pewną, nieszkodliwą dla zdrowia dawkę krwi. Jeżeli dokonana przez Fordyce'a analiza statystyczna badań Locka była poprawna, jest wystarczająco dużo Cartwrightów, by dać nieśmiertelność 50.000 śmiertelników - i liczba ta będzie wzrastać w postępie geometrycznym w miarę, jak na świat przychodzić będą następni Cartwrightowie. Gdyby tylko nie byli oni tak samolubni...

Ale jak do tej pory odnaleziono ich zaledwie tylu by zapewnić nieśmiertelność tylko stu czy dwustu osobom - na dobrą sprawę nikt dokładnie nie wiedział ilu. Mogli dostarczać swą bezcenną krew jedynie w niewielkich dawkach. Uzyskiwano z niej znikome ilości gammaglobuliny, zawierającej czynnik immunizujący. Nawet przy zastosowaniu bardzo precyzyjnie obliczonego dozowania, musiano ograniczyć dostęp do szczepionki do małej grupy najniezbędniejszych osób. Musiano tak postępować również dlatego, że immunizacja miała charakter przejściowy. Utrzymywała się jedynie od trzydziestu do czterdziestu dni. Gdy jednak uda się syntetyzować proteiny krwi...

Szedł z wolna w stronę wyjścia na ulice, mijając umieszczone po obu stronach długiego korytarza gabinety ze stojącymi w nich leżankami diagnostycznymi. Zatrzymał się między gigantycznymi laskami Eskulapa, podtrzymującymi belkę nadproża, tuż przed kurtyną powietrzną, która zamykała dostęp letniemu upałowi, zimowym chłodom, kurzowi i chorobom miasta.

Budynek kliniki jednym bokiem dotykał muru Centrum Medycznego.

Naprzeciwko wznosiło się wysokie ogrodzenie fabryki, produkującej samochody pancerne, eksportowane potem do przedmieść. Z niej właśnie Centrum otrzymywało swoje ambulanse. Nieco dalej znajdowała się druga, mniejsza przybudówka. Na jej dachu umieszczony był neonowy napis: SKUP KRWI. Tuż przy drzwiach wejściowych widniał inny, mniejszy anons: „Obecnie płacimy 5 \$ za pintę.

Już za parę minut technicy banku krwi będą mieli pełne ręce roboty. Zaczną wbijać igły w pokryte bliznami żyły przedramion robotników, którzy po oznajmianiu końca pracy gwizdkach zaczną przepływać przez laboratoria trwoniąc swe siły żywotne. Wielu z nich wróci nim miną dwa tygodnie, inni mniej liczni, po dwóch miesiącach. Nie było na nich sposobu. Będą robić wszystko: handlować dowodami osobistymi, zdzierać naskórek z wewnętrznej strony przedramienia, by zatrzeć poprzedni ślad igły, przysięgać, że blizny powstały po zastrzykach antybiotyków...

A potem jednym haustem wypiją sok pomarańczowy - niektóre dzieci oddawały krew tylko dlatego, że nigdy dotąd nie piły soku - schwycą swoje pięć dolarów i popędzą do najbliższego handlarza nielegalnymi antybiotykami i panaceami.

Albo oddadzą je znachorowi z sąsiedztwa, by namaścić balsamem jakiegoś leciwego inwalidę, albo by wymamrotał zaklęcia nad umierającym niemowlakiem.

No cóż, obywatele byli niezbędni. Musiał o tym pamiętać. Stanowili olbrzymie źródło preparatów immunologicznych. Byli oddani na pastwę wszelkich chorób, pleniących się z biedy, nieuctwa i brudu, chorób, przed którymi szlachetni byli zabezpieczeni. Szlachetni potrzebowali gammaglobuliny swych obywateli, ich antyciał. Szlachetni potrzebowali serum, które produkowały ciała obywateli, szczepionek wytwarzanych dzięki reakcjom ich organizmów.

Za bankiem krwi mur Centrum zakręcał gwałtownie. Dalej było miasto.

Miasto nie umierało - ono już było martwe.

Drewniane domy przekształciły się w stopy gnijących rupieci: Czyszówki z cegły rozpadały się, jedynie tu i ówdzie sterczały fragmenty murów. Ściany z aluminium i magnezu były podziurawione i poszarpane. Wszędzie panował rozkład. Ale podobnie jak zielone pędy przebijają w lesie warstwę martwych liści, tak i miasto odradzało się na nowo. Z desek wyciągniętych ze śmietnisk budowano dwuizbową chałupę. Za ruinami czyszówki stał ceglany domek. Metalowe ściany przekształciły się w szeregi szafasów.

Wieczny krąg, pomyślał Harry. Ze śmierci rodzi się życie. Z życia - zagłada. Tylko człowiek może się z tego wyrwać. Z poprzedniego miasta pozostały tylko otoczone ogrodzeniami fabryki i rozległe kompleksy budynków szpitalnych. Wznosiły się za swoimi murami - wysokie, potężne i bezosobowe. Na murach, w pomarańczowoczerwonych promieniach wiszącego nisko słońca, połyskiwały opancerzone strażnice.

Rozległy się gwizdki o różnej tonacji i natężeniu, tworząc dziwny, przerażając kontrpunkt zharmonizowany z widokiem zachodzącego słońca. Było w tym coś pierwotnego i podniecającego, coś, co przypominało dziką ceremonię, która ma na celu wybląganie u bogów powrotu słońca.

Bramy zwinęły się, odsłaniając otwory w murach fabryki. Robotnicy wylali się na ulice - mężczyźni i kobiety, dzieci, starcy, słabi i silni. Byli w jakiś sposób do siebie podobni. Obdarcy, brudni i schorowani - mieszkańcy miasta. Powinni czuć się nieszczęśliwymi, ale zazwyczaj byli radośni. Jeżeli znad rzeki nie nadciągnął jeszcze smog, patrzyli w górę, na błękitne niebo, śmiali się bez powodu. Dzieci pod nogami rodziców bawiły się w berka, krzycząc i chichocząc. Nawet starcy uśmiechali się pobłaźliwie.

To zdrowi szlachetni zawsze byli stateczni i zatroskani. No cóż, to rozumiały. Ci, którzy żyją w niewiedzy mogą być weseli. Obywatele nie muszą przejmować się zdrowiem czy nieśmiertelnością.

Zresztą, to przekraczało ich możliwości pojmowania. Pojawiali się jak jętka - jednodniówka, by pofruwać beztrąsko i umrzeć. Natomiast wiedza przynosiła troski, za nieśmiertelność trzeba było płacić.

Harry'emu natychmiast poprawiał się humor, gdy o tym myślał. Kiedy widział te wielkie hordy obywateli, którzy nie mieli najmniejszych szans na nieśmiertelność, od razu uświadamiał sobie swoją przewagę. Wychował się w podmiejskiej willi, daleko od chorób i rakotwórczych wyziewów miasta. Od niemowlęctwa miał zapewnioną najstaranniejszą opiekę lekarską. Miał za sobą cztery lata szkoły średniej, osiem lat studiów medycznych i prawie trzy lata stażowania na internie. W walce o nieśmiertelność dawało mu to wyraźną przewagę i uważał, że sprawiedliwą za to ceną było zatroskanie i niepokój.

Za murami zaczęły wyc syren. Harry odwrócił się. Brama Centrum Medycznego zwinęła się. Najpierw wyjechała eskorta na motocyklach. Ludzie na ulicy rozbiegali się pod ściany, pozostawiając wolne pasmo na środku jezdni. Policjanci niedbale przejechali tuż obok nich - zdrowi panicze z filtrami w nozdrzach, pychą w przysłoniętych goglami oczach, rewolwerami zawieszonymi nisko na biodrach. Policjant - to jest ktoś! - pomyślał Harry. Była w nich buńczuczność, cień przemocy.

To faceci z piekła, rodem. I jeżeli przypisywane im powodzenie u kobiet tylko w jednej dziesiątej odpowiadało prawdzie, nie było kobiety - od obywatelki poczynając, przez personel techniczny, pielęgniarki i na damach z przedmieść kończąc - które byłyby w stanie im się oprzeć.

No cóż, niech sobie mają splendory i kobiety. On wybrał bezpieczniejszą i pewniejszą drogę do zdobycia nieśmiertelności. Niewielu policjantów ją osiągnęło.

Za motocyklistami pojawił się ambulans. Jego pancerne luki były zamknięte, automatyczne działko czterdziestomilimetrowe nerwowo poszukiwało celu. Z tyłu mknęła na motocyklach następna grupa policjantów. Nad konwojem gwałtownie znurkował śmigłowiec. Coś rozbłysło w promieniach słońca, przekształciło się w szereg małych, okrągłych przedmiotów, oddzielających się od maszyny i opadających łukiem na ulicę. Z cichym puknięciem pękały jeden po drugim układając się wzdłuż całego konwoju. Policjanci, jak kukielki, którym nagle poprzecinano sznurki, zwalili się na jezdnię. Potoczyli się jeszcze siłą rozpędu, podczas gdy ich motocykle zwolniły i stanęły.

Ambulans nie mógł się zatrzymać. Przejechał przez ciało jednego z policjantów i uderzył w motocykl, spychając go z drogi. Czterdziestomilimetrowe działko drgało nerwowo, usiłując uchwycić śmigłowiec w celownik radarowy, ale maszyna leciała tuż nad dachami.

Zniknęła, zanim padł choć jeden strzał. Harry poczuł ostry, przenikliwy zapach: Jego głowa stała się jakby spuchnięta i lekka. Ulica przechyliła się i wyprostowała.

Zobaczył, jak w środku tłumu za ambulansem czyjaś ręka robi zamach. Coś czarnego mignęło w powietrzu i rozbiło się o dach ambulansu. Wokół bryznęły płomienie. Spływały po burtach, wciskały się w strzelnice i szczeliny obserwacyjne, wsysało je do chwytu powietrza.

Przez następną chwilę nic się nie działo. Przypominało to żywy obraz - ambulans i balansujące na jezdni motocykle, policjanci i najbliżej stojący obywatele zwinęci i poskręcani na chodniku, gapie, płomienie strzelające w górę, kłęby czarnego, tłustego dymu...

Otworzyły się boczne drzwi ambulansu. Chwiejnym krokiem wyszedł z nich medyk. Trzymał coś kurczowo w jednej ręce, drugą próbował ugasić liżąc jego białą kurtę płomienie. Obywatele patrzyli w milczeniu. Nikt nie pospieszył z pomocą, ale nikt też nie przeszkadzał. Z tłumu wyszedł czarnowłosy mężczyzna. Uniósł rękę. Trzymał w niej coś ciemnego i obwisającego. Ręka opadła na głowę medyka.

Do Harry'ego nie dotarł żaden dźwięk. Wszystko zagłuszał ryk pracujących na wolnych obrotach silników motocykli i ambulansu.

Pantomima trwała dalej, a on był częścią widowni, która widziała jak medyk pada, mężczyzna zatrzymuje się, tłumi płomienie gołymi rękami, wyjmując z dłoni medyka zaciśnięty przedmiot i spogląda na drzwi ambulansu.

Harry zauważył, że stoi w nich dziewczyna. Z tej odległości widział tylko, że jest ciemnowłosa i smukła.

Płomienie na ambulansie wypaliły się. Dziewczyna stała w drzwiach bez ruchu. Mężczyzna, znajdujący przy leżącym medyku popatrzył na nią, zaczął wyciągać rękę w jej kierunku, zatrzymał się, opuścił dłoń, odwrócił się i wtopił w tłum. Minęły zaledwie dwie minuty od chwili, w której zaczęły wyc syreny.

Obywatele w milczeniu ruszyli do przodu. Dziewczyna odwróciła się i cofnęła w głąb ambulansu. Obywatele obdarli policjantów z ubrań i broni, wyszabrowali z ambulansu czarną torbę i zapas medykamentów, pozbierali swoich leżących towarzyszy i zniknęli.

Przypominało to Sztuczkę magiczną. Przed chwilą ulica była pełna. W następnym momencie nie było już nikogo, żywego ducha.

Za murami Centrum Medycznego znów zaczęły wyc syreny. Z Harry'ego jakby zdjęto urok. Zaczął biec po ulicy, krzycząc coś bez sensu.

Z ambulansu wyszedł mały, szczupły chłopiec. Miał nie więcej niż siedem lat, krótko obcięte blond włosy, ciemne oczy i smagłą twarz. Ubrany był w postrzępioną, niegdyś białą koszulkę tenisową i obcięte nad kolanami dżinsy.

Wyciągnął rękę w stronę ambulansu. Z drzwi wysunęła się na spotkanie żółtawa dłoń o palcach jak szpony i ramię, które przypominało powykręcany patyk, opleciony wijącymi się jak liany sznurami niebieskich żył. Była to ręka bardzo starego człowieka, stojącego na sztywnych, przypominających szczudła nogach. Jego włosy były cienkie i białe jak jedwabne nici. Skóra na twarzy i czaszce jak pomarszczony pergamin. Łachmany tuniki, spadając z kościstych barków i przygarbionego grzbietu, owijały się wokół ud.

Chłopiec powoli i ostrożnie wyprowadził starca na zniszczoną nawierzchnię. Stary człowiek był niewidomy. Płaskie, ciemne powieki przykrywały puste oczodoły. Z wysiłkiem pochylił się nad leżącym medykiem. Zbadał dotykiem jego czaszkę. Następnie podszedł do przejechanego przez ambulans motocyklisty. Policjant miał zgniecioną klatkę piersiową i gdy próbował wciągnąć powietrze do podziurawionych płuc, na jego ustach pękały bąbelki różowej piany.

Na dobrą sprawę był już martwy. Medycyna była bezsilna przy tak ciężkich, tak rozległych obrażeniach.

Harry schwycił starca za kościste ramię.

- Co chcesz zrobić? - zapytał.

Starzec nie poruszył się. Przez chwilę trzymał rękę policjanta w swojej dłoni, a potem wyprostował się przy akompaniamencie trzeszczących stawów.

- Leczę - odparł głosem przypominającym chrzęst papieru ściernego.

- Ten człowiek umiera - powiedział Harry.

- Wszyscy umieramy - odrzekł starzec.

Harry spojrzał na motocyklistę. Oddychał z mniejszym wysiłkiem, czy tylko mu się to wydawało?

Właśnie w tym momencie dotarli do nich sanitariusze z noszami.

Harry z trudem odnalazł biuro dziekana. Centrum Medyczne zajmowało powierzchnie kilkuset miejskich kwartałów, powiększało się pod wpływem jakichś własnych, osobliwych bodźców. Nikt nigdy nie planował, że będzie aż tak wielkie, ale nagle dobudowano skrzydło, gdy nie wystarczało już miejsca na potrzeby opieki medycznej i służb badawczych - potem następne, później łączniki i arterie komunikacyjne - dołem, naokoło, przez środek...

Jego przewodnikiem był świecący pręt kierunkowy. Prowadził go przez nieoznakowane korytarze i Harry próbował zapamiętać drogę. Bez skutku. Włożył pręt w zamek opancerzonych drzwi. Drzwi wessały pręt i otworzyły się. Gdy tylko Harry wszedł do środka, zamknęły się za nim i zaryglowały. Znajdował się w pustym przedpokoju. Wzdłuż jednej ze ścian, na metalowej, przykręconej do podłogi ławeczce siedzieli chłopiec i starzec z ambulansu. Chłopiec popatrzył z ciekawością na Harrego, potem opuścił wzrok na swe złożone dłonie. Stary człowiek opierał się o ścianę.

W pewnej odległości siedziała na ławce dziewczyna. Przypominała mu tę, która stała w drzwiach ambulansu. Harremu wydawało się jednak, że tamta była niższa i młodsza. Jej twarz była blada i tylko oczy rozbłysnęły na jego widok jakimś niezwykłym błaganiem, a po chwili przygasły znowu. Harry przesunął wzrokiem po jej chłopięcej, nieuformowanej jeszcze sylwetce. Ubrana była w prostą, przepasaną w talii, brązową sukienkę. Pomyślał, że dziewczyna nie może mieć więcej niż jakieś dwanaście, trzynaście lat.

Skrzynka recepcyjna już po raz drugi musiała powtórzyć pytanie:

- Nazwisko?

- Doktor Harry Elliott - odpowiedział.

- Zbliżyć się do identyfikacji.

Podszedł do ściany przy znajdujących się w głębi pokoju drzwiach i oparł dłoń o wmontowaną w nią Płytę. W jego prawe oko błysnęło ostre światło - porównywano wzór siatkówki.

- Proszę złożyć wszystkie metalowe przedmioty na odbieralniku - poleciła skrzynka.

Harry zawahał się, a następnie wyjął z kieszeni bluzy stetoskop, zdjął zegarek, opróżnił kieszenie spodni z monet, scyzoryka i hipnosprayu.

Coś przytknęło. - Filtry - powiedziała skrzynka.

Harry wyjął filtry z nozdrzy i również położył je na odbieralniku.

Dziewczyna obserwowała go, lecz kiedy spojrzał w jej stronę odwróciła wzrok. Drzwi otworzyły się. Wszedł i drzwi zamknęły się za nim.

Biuro dziekana Mocka mieściło się we wspaniałym pokoju długości trzydziestu i szerokości dwudziestu stóp. Urządzone było w wiktoriańskim stylu. Meble, a szczególnie wykonane z żółtego dębu biurko o żaluzjowym zamknięciu i mahoniowa szafka na instrumenty lekarskie sprawiały wrażenie prawdziwych antyków.

Pokój imponował bogactwem. Harry, mimo wszystko wolał jednak Dwudziestowieczny Modern. Jego czyste linie, szklane i chromowane części, sprawiały

przyjemne, estetyczne wrażenie. Poza tym był to styl początków nauk medycznych - okresu, w którym ludzkość zaczęła rozumieć, że dobry stan zdrowia nie jest dziełem przypadku, że można go kupić, jeżeli ludzie będą chcieli zań płacić.

Harry widział już dziekana Mocka, ale nigdy z nim nie rozmawiał.

Jego rodzice nie mogli tego zrozumieć. Myśleli, że skoro jest lekarzem, jest tym samym równy rangą wszystkim pracownikom Centrum Medycznego. Ciągłe im tłumaczył, jak wielkie jest to miejsce, ilu ludzi w nim pracuje: 75.000, 100.000 - tylko statystycy wiedzieli, jak wielu. To nie pomagało, w dalszym ciągu nie mogli tego pojąć. Harry w końcu dał sobie spokój.

Dziekan go nie znał. Ubrany w białą bluzę siedział przy swoim biurku i studiował akta Harry'ego, wyświetlane na wkładce z matowego szkła.

Czarne włosy dziekana zaczynały rzednąć. Miał obecnie prawie osiemdziesiąt lat, ale nie wyglądał na tyle. Pochodził z dobrej linii genetycznej i miał najlepszą opiekę lekarską. Da sobie radę bez zastrzyków długowieczności - pomyślał Harry - jeszcze przez jakieś dwadzieścia lat. Oczywiście, do tego czasu, biorąc pod uwagę jego stanowisko i osiągnięcia, na pewno przyznają mu odroczenie.

Mock spojrzął nagle do góry. Harry opuścił wzrok, ale nim to uczynił, dostrzegł, że w oczach Mocka maluje się coś, co przypominało strach albo rozpacz.

Harry nie mógł tego pojąć. Napad istotnie był zuchwały, tuż pod murami Centrum, ale przecież nie było to nic nowego. Napady już się zdarzały i na pewno będą się jeszcze nieraz zdarzać. Jeżeli tylko pojawi się coś cennego, nieprawomyślni ludzie będą próbowali to ukraść. W czasach Harry'ego tą wartościową rzeczą były leki.

Mock odezwał się raptownie:

- A więc widziałeś tego człowieka? Czy mógłbyś go rozpoznać, gdybyś zobaczył go znowu, albo gdyby ci pokazano dobry solidograf?

- Tak, proszę pana - odparł Harry. Dlaczego Mock robi taką aferę wokół całej tej sprawy? Przecież wypowiedział się już lekarzowi naczelnemu i komendantowi policji.

- Czy znasz Gubernatora Weavera? - spytał Mock.

Nieśmiertelny!

- Nie, nie o to chodzi - przerwał niecierpliwie Mock. - Czy wiesz, gdzie mieszka?

- W Pałacu Gubernatora. Czterdzieści mil stąd, prawie dokładnie na zachód.

- Tak, tak - powiedział Mock. - Zaniesiesz mu wiadomość. Wiadomość.

Transport został porwany. Porwany. - Mock miał nerwowy odruch powtarzania słów. Harry musiał uważnie słuchać, by nie stracić wątku. - Minie tydzień, zanim następny transport będzie gotowy, tydzień. Nie wiem, jak nam się uda go dostarczyć. Nie wiem. - Ostatnie dwa zdania Mock mruknął sam do siebie.

Harry próbował zrozumieć, po co to wszystko. Zaniesić Gubernatorowi wiadomość?

- Dlaczego pan do niego nie zatelefonuje? - spytał bezmyślnie. To pytanie wyrwało Mocka z zadumy.

- Podziemne kable są poprzecinane. Poprzecinane. Nie ma po co ich reperować. Ludzie, których wysyłamy, by je naprawili, są zabijani. A nawet jeżeli uda im się je wyremontować, to następnej nocy znowu są przecinane. Radio telewizja są zagłuszane. Przygotuj się. Musisz się pospieszyć, by dotrzeć do południowo - zachodniej bramy przed

godziną policyjną.

- Przecież wypuszczą mnie, jeśli będę miał przepustkę - powiedział Harry nic nie rozumiejąc. Czyżby Mock oszalał?

- Nie mówiłem ci? Nie mówiłem? - Mock przesunął ręką po czole, jakby zgarniał pajęczynę. - Idziesz sam, pieszo, przebrany za obywatela. Konwój zostałby doszczętnie zniszczony. Doszczętnie. Próbowaliśmy. Trzy tygodnie nie mamy kontaktu z Gubernatorem. Trzy tygodnie! Pewnie zaczyna nie niecierpliwić. Nigdy nie pozwól, by Gubernator zaczął się niecierpliwić. To niezdrowe.

Harry dopiero teraz pojął sens polecenia dziekana. Gubernator! Mógł cofnąć połowę czasu życia, niezbędnego Harry'emu w jego badaniach nad nieśmiertelnością. - Ale mój rejon...

Mock zrobił mądrą minę. - Gubernator jest w stanie zrobić dla ciebie więcej niż tuzin komisji. Więcej.

Harry przygryzł dolną wargę i zaczął wyliczać, zaginając palce. -Będę potrzebował: filtry do nosa, mały zestaw medyczny, pistolet...

Mock pokręcił głową. - Nic z tych rzeczy. To nie będzie pasowało do roli. Do Pałacu Gubernatora dostaniesz się nie dlatego, że będziesz się dobrze bronił czy leczył swe rany, ale dlatego, że będziesz dobrze udawać obywatela. Dzień lub dwa bez filtrów nie zmniejszą ci średniej wieku. No co, doktorze? Przedostaniesz się?

- Jak pragnę nieśmiertelności! - odparł z przejęciem Harry.

- Dobrze, dobrze. Jeszcze jedno. Weźmiesz ze sobą ludzi których widziałeś w przedpokoju. Chłopiec ma na imię Christopher, stary mówi, że nazywa nie Pearce. Jest czymś w rodzaju znachora. Gubernator prosił o niego:

- O znachora? - zapytał Harry z niedowierzaniem.

Mock wzruszył ramionami. Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że uważa ten okrzyk za nietakt, ale Harry nie mógł się opanować i ciągnął dalej:

- Gdybyśmy zrobili parę pokazówek tym oszustom...

- To kliniki by jeszcze bardziej przepelnione niż w chwili obecnej.

Obecnej. Spełniają pozyteczną rolę. A zresztą, cóż możemy począć? Nie podaje się za lekarza. Mówi o sobie, że jest uzdrowicielem. Nie stosuje lekarstw, nie operuje, nie udziela rad. Przychodzą do niego chorzy, a on ich dotyka. Dotyka ich. Czy można to nazwać uprawianiem praktyki lekarskiej?

Harry potrząsnął przecząco głową.

A co zrobić, jeżeli chorzy twierdzą, że zostali uleczeni? Pearce nic takiego nie mówi. Nic. Nie bierze żadnych honorariów. Żadnych.

Jeżeli chorzy są mu wdzięczni, jeżeli chcą mu coś dać, to któż może im zabronić?

Harry westchnął.

- Bedę musiał spać. Uciekną. Mock uśmiechnął się drwiąco.

- Słaby starzec i chłopiec? - Dziewczyna jest dość żwawa.

- Marna? - Mock sięgnął do szuflady i wyjął srebrną obręcz składającą się z dwóch połówek, połączonych zawiasem. Rzucił ją Harremu. Harry schwycił ją i obejrzał.

- To bransoleta. Załóż ją.

To rzeczywiście wyglądało jak bransoleta. Harry wzruszył ramionami, wsunął ją na przegub i zatrzasnął. Przez chwilę miał wrażenie, że jest zbyt duża, ale nagle zacisnęła się.

Skóra pod bransoletą zaczęła go swędzić.

- Jest nastrojona na bransoletę, którą ma na ręku dziewczyna.

Nastrojona. Kiedy dziewczyna się będzie od ciebie oddalać, przegub zacznie ją swierzbic. Im dalej odejdzie, tym bardziej będzie ją boleć. I wkrótce wróci do ciebie. Założyłbym takie same bransoletki chłopcu i staremu, ale one działają tylko parami. Parami. Jeżeli ktoś będzie próbował zdjąć bransoletę siłą, dziewczyna umrze. Umrze. Bransoleta jest podłączona do systemu nerwowego. Tylko Gubernator ma klucz.

Harry popatrzył na Mocka.

- A co z moją?

- To samo. Dla ciebie będzie ona urządzeniem ostrzegawczym.

Harry nabrał głęboko powietrza w płuca i spojrzał na swój przegub.

Odniósł wrażenie, że srebro połyskuje teraz jak zimne oczy węża.

- Dlaczego jednej z nich nie założyliście medykowi?

- Założyliśmy. Musieliśmy amputować mu rękę, by ją zdjąć. Mock odwrócił się w stronę biurka i klatki mikrofilmów znów zaczęli przebiegać przez ekran. Po chwili uniósł wzrok i wydawał się być zaskoczony tym, że Harry nie ruszył się z miejsca.

- Ciągle tu jesteś? Idź już. Jeżeli chcesz zdążyć przed godziną policyjną, to straciłeś już zbyt wiele czasu.

Harry odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Strzeż się wampirów - krzyknął za nim dziekan Mock. - I uważaj na łowców głów.

Zanim doszli do bramy południowo - zachodniej, Harry opracował metodę poruszania się ich niewielkiej grupki, sposób, który dla obu stron był w równym stopniu niewygodny.

- Śpieszcie się - mówił. - Do godziny policyjnej zostało nam tylko parę minut.

Dziewczyna spoglądała na niego i odwracała wzrok. Pearce, który i tak poruszał się szybciej, niż Harry oczekiwał, mówił:

- Spokojnie. Zdążymy. Nikt z nich nie miał ochoty się śpieszyć. Wtedy Harry gwałtownie przyspieszał kroku, wyprzedzając pozostałych. Jego przegub zaczynał swędzić, potem szczytać, palić i boleć. Im dalej w tyle pozostawała Marna, tym ból stawał się silniejszy. Tylko myśl, że ona czuje to samo, podtrzymywała go na duchu.

Po chwili ból zaczynał ustępować. Wiedział wtedy, nawet nie patrząc w jej stronę, że przełamał jej opór. Spoglądał wstecz, wiedząc, że idzie jakieś dwadzieścia stóp za nim, woląc trochę cierpieć, niż podejść bliżej.

Wtedy zatrzymywał się i czekał na starca. Za pierwszym razem minęła go, ale wróciła, gdy już nie mogła znieść bólu. W innej sytuacji Harry uważałby Marnę za urocze stworzenie. Była szczupła i pełna gracji, skórę miała jasną, rysy regularne i ujmujące, a kontrast między jej czarnymi włosami i niebieskimi oczyma był frapujący. Była jednak młoda, zawzięta i związana z nim w nienawistny dla niej sposób.

Dotarli do bramy na minutę przed zamknięciem.

Po obu stronach, jak okiem sięgnąć ciągnęło się podwójne ogrodzenie.

Było bez końca, całkowicie otaczało miasto. W nocy przepuszczano przez nie prąd wysokiego napięcia, a pomiędzy dwoma rzędami siatki włóczyły się dzikie psy.

Jednak obywatele w jakiś sposób wydostawali się poza nie. Tworzyli wyjęte spod prawa bandy i napadali na bezbronnych podróżnych. To było jedno z niebezpieczeństw.

Dowódcą straży był ciemnoskóry szlachetny w średnim wieku. Miał sześćdziesiąt lat i stracił już nadzieję na nieśmiertelność. Teraz starał nie korzystać z tego, co mu pozostało z życia. Do swych przyjemności zaliczał również znęcanie się nad słabszymi.

Popatrzył na niebieską przepustkę dzienną, a potem na Harry'ego.

- Topeka? Pieszko? - zachichotał. Jego wielki brzuch trząsał się przez chwilę, aż wreszcie szlachetny zaczął kaszleć i przestał się śmiać.

- Jeżeli nie wpadniecie w łapy wampirom, to schwytają was łowcy głów. A za głowy płaci się obecnie dwadzieścia dolarów. Oczywiście, tylko za głowy banitów, ale cóż, głowy nie mówią. Na pewno nie mówią, gdy się je oddzieli od ciała. Ale ja wiem, co macie zamiar zrobić. Chcecie przyłączyć się do wilczego stada. - Splunął na trotuar tuż koło stopy Harry'ego.

Harry z obrzydzeniem cofnął nogę. Oczy strażnika rozbłyły.

- Czy pan nas przepuści? - spytał Harry.

- Czy was przepuszczę? - Dowódca spojrzął na zegarek. - Nie mogę. Już jest godzina policyjna. Widzisz?

Harry odruchowo schylił się, popatrzeć. - Ale przecież przyszliśmy tu przed godziną... - zaczął. Pięść strażnika wyrznęła go za uchem, aż się zatoczył.

- Wracaj skąd przyszedłeś i zostań tam, ty wszawy obywatelu! - wrzasnął strażnik.

Harry odruchowo sięgnął do kieszeni, w której zawsze miał swój hipnospray, ale kieszeń była pusta. Na usta cisnęły mu się najstraszliwsze przekleństwa, ale nie odważył się nawet pisnąć. Nie był już doktorem Elliottem, nie był nim do chwili, w której dotrze do Pałacu Gubernatora. Był Harrym Elliottem, obywatelem, którego każdy mógł zdzielić pięścią, który powinien czuć się szczęśliwy, jeżeli była to tylko pięść.

- Jeżeli - powiedział dwuznacznym tonem strażnik - zostawilibyście dziewczynę jako zakładnika... - Zakaszłał.

Marna cofnęła się gwałtownie. Przypadkowo dotknęła Harry'ego. Po raz pierwszy, mimo tej intensywnej, osobistej więzi, jednoczącej ich w bólu i wyzwoleniu, dotknęli się i z Harrym coś się stało. Jego ciało odruchowo cofnęło się przed tym dotknięciem, jak przed rozpalonym sterylizatorem. Marna zeszytniała.

Harry zauważył z niepokojem, że Pearce, kierując się głosem idzie w stronę strażnika. Wyciągał rękę i macał w powietrzu. Dotknął munduru strażnika, potem ramienia i przesuwając dłoń w dół, aż dotknął jego dłoni Harry stał nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami, czekając na chwilę, w której strażnik uderzy starca. Szlachetnego powstrzymał jednak odruch szacunku, należnego podeszłemu wiekowi. Spojrzął tylko na Pearce'a ze zdziwieniem.

- Słabe płuca - szepnął Pearce. - Uważaj na nie. Zapalenie płuc może zabić, nim antybiotyki zdołają pomóc. A w dolnym lewym płacie ślad raka...

- Hej, ty.. - Strażnik gwałtownie cofnął rękę, ale w jego głosie zabrzmiał przestach.

- Rentgen - szepnął Pearce. - Nie zwlekaj.

- Nic... nic mi nie dolega - wyjąkał strażnik. - Pró.. próbujesz mnie przestraszyć. - Kaszlnął.

- Unikaj wysiłku. Usiądź. Odpręż się.

- Dlaczego... - zaczął kaszleć gwałtownie. Ruchem głowy wskazał branie.

- Idźcie - powiedział, krztusząc się. - Wynoście się i zdechnijcie.

Christopher ujął starca pod raka i wyprowadził go przez bramę. Harry schwycił ramię Marny - znów ten dotyk - i ni to pomagając jej iść, ni to popychając, przeszedł z nią przez bramę. Obserwował bacznie strażnika. Ten jednak głęboko przeżywał o wiele dlań ważniejsze sprawy.

Gdy tylko wyszli, brama opadła za nimi z hukiem. Harry puścił Marnę jakby z obrzydzeniem. Wyszli na prawą cześć nieużywanej, sześciopasmowej autostrady. Była pusta. Wspaniała niegdyś nawierzchnia wyszczerbiła się i popękała. W szczelinach pleciła się gęsta, wysoka trawa. Po obu stronach rosły chwasty wysokie jak młode drzewa, tu i ówdzie spokojnie kołysały się obrzeżone żółtymi płatkami duże, brązowe tarcze słoneczników.

Dalej stały ruiny tego, co dawniej nazywano przedmieściami. Kiedyś od miasta oddzielała je tylko wykreślona na mapie linia. Nie było żadnych ogrodzeń. Gdy je wzniesiono, domy położone za ich obrębem wkrótce się rozpadły.

Prawdziwe przedmieścia były o wiele dalej. Najpierw ważniejszym od odległości okazał się czas dojazdu, potem czas lotu śmigłowca. Wreszcie życie miasta dobiegło kresu. Stało się jasne, że miasto jest siedliskiem chorób i czynników rakotwórczych i wtedy jego wież z przedmieściami uległa zerwaniu. Do miast nadchodziły transporty żywności i surowców, miasto wysyłało gotowe produkty, ale nikt już do niego nie przyjeżdżał, chyba że do centrów medycznych. Były one zlokalizowane w miastach, tam bowiem znajdowało się ich źródło surowców: krew, narządy, choroby, ciała, na których można było eksperymentować...

Harry szedł przed Christopherem i Pearce'em, obok Marny, ale dziewczyna nie patrzyła na niego. Szła z wzrokiem utkwionym przed siebie jakby była zupełnie sama. Wreszcie Harry powiedział: - Słuchaj, to przecież nie moja wina. Nie chciałem tego. Czy nie możemy zostać przyjaciółmi?

Spojrzała na niego tylko raz. - Nie!

Zacisnął wargi i pozostał nieco w tyle. Niech ją szczypie Cóż go może obchodzić to, że trzynastoletnia dziewczyna go nie lubi. Niebo na zachodzie zmieniało kolor ze szkarłatnego na ciemnopurpurowy. Nic się nie poruszyło wśród ruin i na drodze. Byli sami w tym oceanie zniszczeń. Równie dobrze mogli być ostatnimi ludźmi na spustoszonej Ziemi.

Harry zadrzał. Wkrótce trudno już będzie odnajdywać drogę. - Pospieszcie się - powiedział do Pearce'a - jeżeli nie chcecie spędzać nocy tutaj - wśród wampirów i łowców głów.

- Niekiedy zdarza się gorsze towarzystwo - szepnął Pearce.

Zanim dotarli do motelu zapadła głucha, bezksiężycowa noc, a stare przedmieścia pozostały już daleko w tyle. Cały teren motelu pogrążony był w ciemności - świeciła się tylko duża, neonowa reklama „MOTEL, mniejszy napis: „Wolne miejsca” i przy bramie w ogrodzeniu, na wycieracze, trzeci, który głosił: Witamy. Na płycie z matowego szkła widniały słowa: „Proszę przycisnąć guzik”.

Harry miał właśnie zamiar to zrobić, gdy Christopher dowiedział ostro:

- Doktorze Elliott, proszę spojrzeć! - Kijem, podniesionym z ziemi jakieś pół mili wcześniej, wskazał na prawo, w stronę ogrodzenia.

- Co tam? - warknął Harry. Był zmęczony, zdenerwowany i brudny.

Popatrzył badawczo w ciemność.

- Martwy królik.

- Christopher chciał przez to powiedzieć, że ogrodzenie jest pod napięciem - wyjaśniła Marna - a wycieraczka, na której stoisz, jest metalowa. Sądzę, że nie powinniśmy tu wchodzić.

- Bzdura! - odparł stanowczo Harry. - Wolelibyście zostać tutaj, oddani na pastwę wszystkiego, co się włóczy po nocach? Zatrzymywałem się już w tych motelach. Są bez zarzutu.

Christopher podał mu kij. - Może lepiej będzie, jeżeli przycisnie pan guzik tym.

Harry zmarszczył brwi, wziął kij i zszedł z wycieraczki.

- No, już dobrze - burknął. Przy drugiej próbie udało mu się. Matowa szybka zmieniła się w oko kamery telewizyjnej. - Kto dzwoni?

- Czwooro podróżnych do Topeki - odparł Harry. Przysunął przepustkę do obiektywu. - Mamy czym płacić.

- Witajcie - odezwał się głośnik. - Domki numer trzynaście i czternaście otworzą się, gdy wrzucicie odpowiednią ilość pieniędzy. O której chcecie być obudzeni?

Harry popatrzył na swoich towarzyszy. - O wschodzie słońca - oznajmił.

- Dobranoc - powiedział głośnik. - Śpijcie dobrze.

Brama zwinęła się. Christopher przeprowadził Pearce'a obok wycieraczki i skierowali się w dół podjazdu. Marna poszła ich śladem. Harry przeskoczył przez wycieraczkę i dołączył do nich. Pojedyncza linia szklanych cegieł na skraju podjazdu fluoryzowała w ciemności, wskazując drogę. Minęli dół przeciwczołgowy i kilka stanowisk karabinów maszynowych. Wszędzie było pusto.

Gdy dotarli do domku nr 13, Harry powiedział - Nie będziemy potrzebowali obu, przenocujemy razem. - Włożył trzy dwudziestodolarowe, uranowe monety do otworu.

- Dziękuję - odpowiedziały drzwi. - Proszę wejść.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, Christopher wskoczył do środka. W małym pokoiku znajdowało się podwodne łóżko, krzesło, biurko i lampa stojąca. W rogu mieściła się niewielka łazienka, z prysznicem, umywalką i sedesem za przegródką. Chłopiec szybko podszedł do burka, wziął leżącą na nim plastikową kartę z wydrukowanym menu i wrócił do drzwi. Pomógł Pearce'owi wejść do pokoju poczekał na Harry'ego i Marne. Przełamał plastikową kartę na pół i gdy drzwi zaczęły się zamykać, wsunął jedną część między krawędź drzwi, a framugę. Później zaczął iść w stronę Pearce'a, potknął się o lampę i przewrócił ją. Pozostało im tylko światło płynące z łazienki.

- Ty cholerny niezgrabiaszu! - zaklął Harry.

Marna siedziała przy biurku i pisała. Potem odwróciła się i podała Harry'emu kartkę papieru. Skierował ją tak, by padało na nią światło.

Christopher rozbił obiektyw, ale pokój w dalszym ciągu jest na podsłuchu. Nie możemy tego zlikwidować bez wzbudzania podejrzeń. Czy mogę porozmawiać z tobą na dworze?"

- To najidiotyczniejsza... - zaczął Harry.

- Wydaje się, że to słuszne... - szepnął Pearce. - Wy oboje możecie spać w czternastce. - Jego twarz z niewidzącymi oczyma obrócona była wymownie w stronę Harry'ego.

Harry westchnął. No dobrze, zrobi im te przyjemność. Otworzył drzwi i wyszedł wraz z Marną w noc. Dziewczyna przysunęła się do niego bliżej, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła swój policzek do jego. Bezwiednie objął ją w pasie. Jej usta przysunęły się do jego ucha. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Marna mówi do niego.

- Nie lubię cię, doktorze Elliott, ale nie chce, by nas wszystkich pozabijano. Czy stać cię na wynajęcie drugiego domku?

- Oczywiście, ale... nie mam zamiaru zostawiać tych dwóch samych.

- Byłoby głupio z naszej strony, gdybyśmy nie trzymali się razem. A teraz, proszę. Proszę nie zadawać pytań. Gdy wejdziemy do czternastki, zdejmij bluzę i zarzuć ją niedbale na stojącą lampę. Ja zajmę się resztą.

Harry pozwolił zaprowadzić się do sąsiedniego domku. Zapłacił drzwiom.

Pozdrowiły ich i wpuściły do środka. Pokój był identyczny jak w trzynastce. Gdy drzwi się zamykały Marna wsunęła kawałek plastiku między framugą, a krawędź drzwi. Popatrzyła na Harry'ego z wyczekiwaniem.

Wzruszył ramionami, zdjął bluzę i zarzucił ją na lampę. Cienie, które wpełzły do pokoju, nadały mu złowieszczy wygląd. Marna uklękła, zwinęła chodnik i zdjęła z łóżka przykrycie. Następnie podeszła do wiszącego na ścianie telefonu, pociągnęła lekko, a wtedy płaski ekran odchylił się na zawiasach. Włożyła rękę do środka, schwyciła coś i wyciągnęła na zewnątrz. Wyglądało to jak nawinięte na szpulka setki zwojów miedzianego drutu.

Marna weszła do przegródki z prysznicem, rozwijając po drodze przewód.

Stanęła przed kabiną i przywiązała jeden jego koniec do kranu z gorącą wodą. Przeciągnęła przewód naokoło pokoju jak sieć pajęczą, zerwała go i przymocowała koniec rury odpływowej w podłodze, pod prysznicem. Przeciągnęła następny przewód wokół pokoju - blisko pierwszego, ale tak, by go nie dotykał. Starannie unikając kontaktu z przewodami wsunęła rękę do kabinki z prysznicem i odkręciła kurek z gorącą wodą. W kranie coś zabulgotało, ale gorąca woda nie popłynęła. Ostrożnie wy dostała się pomiędzy przewodów, podniosła zwinęty dywanik i rzuciła go na łóżko.

- No cóż, dobranoc - powiedziała pokazując Harry'emu na migi, by szedł w stronę drzwi nie dotykając drutów. Gdy bez komplikacji dotarł do wyjścia, zgasiła lampę i zdjęła z niej jego bluzę. Zatrzasnęła drzwi westchnęła z ulgą.

- Ale załatwiłaś sprawę! - szepnął Harry z wściekłością. - Nie mogę wziąć prysznicu i będę musiał spać na podłodze.

- Prysznicu nie wzięłbyś tak czy owak odparła Marna. - To byłby twój ostatni prysznic w życiu. Tam wszystko było pod napięciem. Jeżeli chcesz, możesz spać na łóżku choć osobiście radziłabym ci położyć się razem z nami na podłodze.

Harry nie mógł zasnąć. Wpływał na to mroczny i cichy pokój oraz oddechy - ciężki, Pearce'a, cichsze, Christophera i Marny. Nie był przyzwyczajony do spania w jednym pokoju z innymi osobami.

Potem zaczął go swędzić przegub. Nieznacznie wprawdzie, ale wystarczająco, by nie dać mu zasnąć. Wstał z łóżka i podpełzł do miejsca, w którym leżała Marna. Ona również nie spała. Starał się ją namówić gestami, by położyła się koło niego na łóżku, zapewniając, że jej nie dotknie. Wcale nie miał ochoty jej dotykać, a gdyby nawet przyszło mu to do głowy, to przecież składał przysięgę wstrzemięźliwości. Chciał tylko, by swędzenie stało się mniej dokuczliwe i by mógł wreszcie zasnąć.

Wskazała, że może się obok niej na podłodze, ale odmownie pokręcił głową. Wreszcie zgodziła się położyć przy łóżku. Harry, leżąc na brzuchu z opuszczoną ręką, zdołał wreszcie na tyle opanować swędzenie, że zapadł w niespokojny sen. Śniło mu się, że przeprowadza długą i trudną resekcję płuca. Manipulatory mikrochirurgiczne ślizgały się w jego spoconych palcach, skalpel przeciął aortę. Pacjentka zerwała się ze stołu operacyjnego, krew tryskała z jej serca. To była Marna. Zaczęła go ścigać po długich korytarzach szpitala. Światła nad głową stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie Harry biegł w kompletnej ciemności, brodząc w ciepłej, lepkiej krwi, która wzbierała coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie całkowicie go zakryła.

Ocknął się przyduszony, zmagając się z czymś, co spowijało go całkowicie. Obok słychać było odgłosy szamotaniny. Coś trzasnęło. Ktoś zaklął.

Harry walczył, ale bez skutku. Coś rozdarło się z trzaskiem. Znowu.

Harry dostrzegł skrawek nieco jaśniejszej ciemności, przesunął się w tę stronę i wydostał przez wnękę rozdarcie w podwiniętym ze wszystkich stron pod krawędzie łóżka, mocno napiętym kocu.

- Szybko! - zawołał Christopher składając nóż. Skierował się w stronę drzwi, przy których cierpliwie stał Pearce.

Marna schwyciła metalową nogę, którą odkręciła od biurka. Christopher odsunął krzesło, którym podparł uprzednio klamkę i cicho otworzył drzwi. Christopher wyprowadził Pearce'a na zewnątrz, potem wyszła Marna. Harry, oszołomiony, ruszył ich śladem. W domku nr 14 ktoś wrzasnął przeraźliwie. Coś błysnęło niebiesko.

Ktoś upadł. Harry poczuł smród palącego się ciała. Marna pobiegła w stronę bramy. Oparła nogę biurka jednym końcem o ziemię i opuściła ją na ogrodzenie. Płot płonął błękitnym ogniem, który zbiegł potrzaskując wzdłuż tej metalowej sztaby. Noga rozżarzyła się do czerwoności i wygięła. Potem zgasły światła.

- Pomóż mi! - zawołała Marna, dysząc ciężko.

Próbowała unieść bramę. Harry wsunął ręce pod dolną krawędź i pchnął ją ku górze. Brama uniosła się o stopę i zamarła.

W głębi podjazdu rozległ się nieartykułowany wrzask. Harry z całej siły szarpnął bramę ku górze. Poddawała się i uniosła bezgłośnie. Podtrzymał ją wyprostowanymi rękami, aż Marna, Pearce i chłopak wyszli na zewnątrz. Harry wyslizgnął się również i pozwolił bramie opaść. W chwilę później elektryczność znów się włączyła. Noga biurka stopiła się i odpadła.

Harry spojrział do tyłu. W ich kierunku nadjeżdżał samobieżny fotel inwalidzki. Siedziało w nim coś bryłowego i potwornego, coś, z czego emanowało koszarne

niebezpieczeństwo. Po chwili Harry widział wyraźnie: plecionka, a w niej kadłub człowieka po czterokrotnej amputacji. Przymocowana z tyłu fotela aparatura płucoserca wyglądała jak druga głowa. Za fotelem biegł stwór, przypominający stracha na wróble. Miał na sobie strój, wyglądający jak kobieca suknia.

Harry stał jak zahipnotyzowany. Wózek zatrzymał się raptownie przy stanowisku karabinu maszynowego. Z oparcia fotela wysunęły się podobne do włosów Meduzy przewody. Podłączyły się do wtyczek sterujących. Karabin maszynowy zaciął terkotać. Coś szarpnęło rękaw Harrego.

Czar prysnął. Harry odwrócił się i pobiegł w ciemność.

Pół godziny później uświadomił sobie, że się zgubił. Marna, Pearce i chłopiec odeszli. Czuł w całym ciele potworne zmęczenie, ramię paliło go, a przegub bolał bardziej niż kiedykolwiek. Dotknął ramienia. Rękaw był mokry. Uniósł palce do nosa. Krew. Pocisk go drasnął.

Usiadł ciężko na krawężniku, w ciemności gęstej jak sadza. Spojrzał na świecąca tarcze zegarka. Dwadzieścia po trzeciej. Parę godzin do wschodu słońca. Westchnął i próbował uśmierzyć ból w przegubie rozcierając skórę wokół bransolety. Miał wrażenie, że to pomaga. Po paru minutach czuł już tylko swędzenie.

- Doktorze Elliott - powiedział ktoś łagodnie.

Odwrócił się. Poczul ulgę i coś zbliżonego do radości. Na tle bladych gwiazd zobaczył Christophera, Marne i Pearce'a.

- No cóż - burknął Harry. - Cieszę się, że nie próbowaliście uciekać.

- Nie zrobilibyśmy tego, doktorze Elliott - powiedział Christopher.

- W jaki sposób mnie znaleźliście? - spytał Harry. Marna bez słowa uniosła rękę.

Bransoleta. Oczywiście. Zbyt wysoko ich oceniałem, pomyślał cierpko Harry. Marna szukała go, bo nie mogła sobie sama z nią poradzić, a Christopher potrzebował pomocy, bowiem w przeciwnym razie zostałby sam ze starcem, którym musiałby się opiekować. Z drugiej jednak strony, musiał uczciwie przyznać, że tam, w motelu właśnie on potrzebował pomocy a nie Christopher czy Pearce. Gdyby mu zaufali, ich głowy już leżałyby na półce w suszarni, czekając na chwilę, w której pobrano by za nie nagrodę. Albo ich wciąż żyjące ciała wieziono by do jakiegoś banku narządów.

- Christopher - powiedział Harry do Pearce'a - musiał praktykować u człowieka, który specjalizuje się w unikaniu poborców nieściągalnych długów.

Pearce potraktował to zdanie zgodnie z intencją Harrego - jako komplement i przeprosiny.

- Unikanie pułapek urzędów podatkowych i wymykanie się inspektorom zdrowia - szepnął - sprawia, że wychowanie w mieście daje dobre przygotowanie do życia... Jesteś ranny.

Harry drgnął. Skąd ten starzec o tym wiedział? Nawet gdyby mógł widzieć, to przecież było tak ciemno, że widać było tylko sylwetki. Harry wytłumaczył to sobie i uspokoił się. To zapewne instynkt. Słyszał, że diagności z wieloletnią praktyką mają coś takiego. Czują chorobę, zanim pacjent położy się na leżance. Dane wskaźników tylko potwierdzają diagnozę.

Nadspodziewanie delikatne palce starego człowieka dotknęły jego ramienia. Harry cofnął je szorstko. - To tylko draśnięcie.

Palce Pearce'a znowu spoczęły na jego ramieniu. - Krwawi. Christopher, znajdź trochę suchej trawy.

Pearce oderwał rękaw bluzy.

- Masz tu trawę, dziadku - powiedział Christopher.

Jakim sposobem ten chłopak znalazł po ciemku suchą trawę?

- Chyba nie masz zamiaru przyłożyć tego do rany? - spytał Harry ostrym tonem.

- To zatamuje krwawienie - szepnął Pearce. - Ale zarazki...

- Zarazki nie zrobią ci krzywdy, chyba, że będziesz tego chciał., Położył trawę na ramie i owinał rękawem.

- Wkrótce będzie dobrze.

Harry pomyślał, że powinien to zdjąć, gdy tylko ruszą dalej. Uznał jednak, że skoro zło już się stało, to lepiej zostawić wszystko tak, jak jest.

Gdy ruszyli w dalszą drogę, Harry znalazł się przy Marnie.

- Przypuszczam, że ty również zdobywałaś swoje wykształcenie uciekając przed inspektorami zdrowia w mieście, co? - powiedział sucho.

Potrząsnęła głową. - Nie przed inspektorami, chociaż od kiedy pamiętam, usiłowałam uciec. Raz mi się udało - byłam wolna. - W jej głosie zadźwięczało zapamiętane szczęście. - Przez dwadzieścia cztery godziny byłam wolna, a potem mnie znaleźli.

- A ja myślałem... - zaczął Harry. - Kim jesteś?

- Ja? Jestem córą Gubernatora.

Harry cofnął się gwałtownie. To nie jej oświadczenie tak nim wstrząsnęło, ale gorycz, z jaką je wypowiedziała.

Wschód słońca zastał ich na autostradzie. Minęli ostatni zniszczony motel. Teraz po obu stronach drogi rozciągały się faliste, pokryte trawą wzgórza i pełne drzew doliny.

Dzień był gorący. Niebo błękitniało nad ich głowami, jedynie na zachodzie unosiły się drobne, wełniste obłoczki. Czasami przez drogę przed nimi kicał królik, znikając w krzakach po drugiej stronie. Raz zobaczyli sarnę stojącą z uniesioną głową przy przepływającej opodal rzeczce i obserwującą ich ze zdziwieniem.

Harry wpatrywał się w nią głodnymi oczyma. - Doktorze Elliott - odezwał się Christopher. Harry spojrział na niego. Na brudnej dłoni chłopca leżała nieregularna bryłka skawalonego, brązowego cukru, upstrzona strzępkami nitek i jakimiś innymi niezidentyfikowanymi dodatkami. Dla Harrego w obecnej chwili był to szczyt marzeń. Ślina napłynęła mu do ust. Przełknął ją z wysiłkiem.

- Daj to Pearce'owi i dziewczynie. Muszą zachować siły. I ty też.

- W porządku - odparł Christopher. - Mam więcej. - W drugiej ręce trzymał jeszcze trzy kawałki. Jeden podał Marnie, a drugi Pearce'owi. Starzec wgrzył się w cukier pieńkami zębów. Harry obskubał największe kawałki obcych dodatków, ale nie mógł już dłużej opanować głodu. Był to niezwykle sycący posiłek. Szli niezbyt szybko, ale w równym tempie. Pearce nigdy się nie skarżył. Dreptał do przodu na swych pałkowatych,

starczych nogach i Harry przestał go ponaglać.

Na odległym wzgórzu zobaczyli podmiejską wille, ale nikogo przy niej nie było widać. Szli ciężko w stronę Lawrence po zarosniętej trawą autostradzie.

Nagle Christopher zawołał:

- Do rowu! Padnij!

Tym razem Harry zareagował błyskawicznie, bez pytań. Pomógł Pearce'owi zejść ze stoku - starzec był bardzo lekki - i upadł na dno rowu obok Marny. W chwili później usłyszeli pędzące w pobliżu motocykle. Gdy już ich minęły, Harry odważył się zerknąć zza krawędzi rowu. Na drodze grupa motocyklistów oddalała się w kierunku miasta.

- Co to było? - zapytał, wstrząśnięty.

- Wilcze stado! - odpowiedziała Marna tonem pełnym odrazy i nienawiści.

- Ale przecież wyglądali jak policjanci - rzekł Harry.

- Kiedy dorosną, zostaną policjantami - odparła Marna.

- Sądziłem, że wilcze stada składają się ze zbiegłych obywateli

- powiedział Harry.

Marna popatrzyła na niego z pogardą

- Tak ci mówiono?

- Obywatelowi - wyszeptał Pearce - uda się utrzymać przy życiu, jeżeli będzie sam.

Grupa nie przetrwa tygodnia.

Wrócili na drogę i zaczęli iść dalej. Christopher, prowadząc Pearce'a rozglądał się nerwowo na boki, spoglądał do tyłu.

Wkrótce jego nastrój udzielił się Harry'emu.

- Padnij! - krzyknął Christopher.

Rozległ się świst i zaraz potem, gdy Harry padał na jezdnię, coś mocno uderzyło go w plecy i rzuciło na ziemię. Marna krzyknęła przeraźliwie.

Harry przeokoziółkował, zastanawiając się, czy ma przetrażony grzbiet.

Christopher i Pearce leżeli obok ale Marna zniknęła. Nad nimi ryknął silnik raketowy. Potem drugi.

Harry spojrział w górę. Stromą świecą wzbijał się w niebo raketoplan spod nim wiała się i szarpała Marna usiłując się wyswobodzić. Z drugiego raketoplanu zwisały puste szpony, które niemal chwyciły Harry'ego - takie senne haki z wyściółką, jakie przed chwilą porwały Marne.

Harry ukląkł, ściskając przegub. Jego ramie zaczął przeszywać ból, zapowiedź cierpienia. Tylko wściekłość, która czarną falą przepływała przez jego żyły i pozwalała przewyciężyć słabość sprawiła, że nie upadł na ziemię, wijąc się w męce. Potrząsnął pięścią w stronę przechylonych w zakręcie raketoplanów. Z ich silników buchały smugi dymu.

- Doktorze Elliott! - zawołał Christopher.

Harry zamglonymi oczyma spojrział w stronę, z której dobiegał głos.

Chłopiec leżał w rowie. Starzec również.

- One wróć. Niech się pan położy - powiedział Christopher.

- Ale przecież oni schwycili Marne - odparł Harry.

- W niczym pan jej nie pomoże, jeżeli da się pan zabić.

Jeden raketoplan znurkował jak sokół na mysz. Drugi, niosący Marne, w dalszym

ciągu wzbijał się spiralą w górę. Harry skoczył do rowu. Strumień świergoczących pocisków wyszczerbił jezdnie w miejscu, w którym Harry stał przed chwilą.

- Myślałem - wykrztusił - że chcą nas porwać - Oni także polują na głowy - odpowiedział Christopher. Wszystko dla dreszczyku emocji - szepnął Pearce.

- Nigdy nie robiłem czegoś takiego - jęknął Harry. - Nie znam nikogo, kto by tak postępował.

- Byłeś zajęty - odrzekł Pearce.

To była prawda. Od momentu, w którym skończył cztery lata, przez cały czas był w szkole. Tylko od przypadku do przypadku wpadał do domu na jeden, knotki dzień: już prawie zapomniawszy swoich rodziców. Cóż mógł wiedzieć o rozrywkach młodych szlachetnych? Ale to - te wilcze stada! Takie upodlenie życia ludzkiego napełniało go zgrozą.

Pierwszy raketoplan był już tylko małym krzyżykiem na niebie, a Marna zwisająca pod nim kropką. Raketoplan wyprostował lot i z wyłączonym silnikiem zaczął szybować w stronę miasta. Drugi podążył w ślad za nim.

Nagle Harry zaczął tłuc bolącą ręką o ziemię.

- Dlaczego zrobiłem unik? Powinienem pozwolić, by i mnie złapali. Ona zginie.

- Jest silna - szepnął Pearce - silniejsza niż ty czy Christopher, silniejsza od wielu innych. Ale siła staje się czasem czymś okrutnym. Idź za nią. Uwolnij ją.

Harry popatrzył na bransoletę, z której ból promieniował na ramię i całe ciało. Tak, może iść jej śladem. Póki będzie mógł się poruszać, póty będzie mógł jej szukać. Ale jakże wolne są stopy w porównaniu ze skrzydłami raketoplanu.

- Motocykle będą wkrótce wracać - powiedział Christopher. - Dali im znać z raketoplanów.

- Ale w jaki sposób zdobędziemy motocykl? - spytał Harry. Ból nie pozwalał mu jasno myśleć.

Christopher zdążył już ściągnąć koszulę tenisową. Wokół pasa miał owinięte zwoje nylonowej linki. - Czasem łapiemy ryby - oznajmił. Przeciągnął linkę przez oba pasma autostrady maskując ją rosnącą w szczelinie trawą. Dał znak Harry'emu, by położył się na ziemi po drugiej stronie. - Przepuścimy ich wszystkich, oprócz ostatniego - powiedział.

- Miejmy nadzieję, że jakiś maruder będzie wystarczająco daleko, by tamci nas nie zauważyli, gdy wstaniemy z ziemi. Proszę owinać linkę wokół pasa i unieść ją potem tak, by znalazła się na wysokości jego piersi.

Harry leżał za krawężnikiem. Czuł, jak jego ramię przekształca się w nabrzmiały bólem balon.

Minęła cała wieczność, zanim dobiegł ich warkot motorów. Gdy pierwsze motocykle przejechały obok nich, Harry ostrożnie uniósł głowę. Tak, był maruder. Jechał jakieś sto stóp za tamtymi i przyspieszał teraz, by ich dogonić.

Motocykle przejechały. Gdy maruder zbliżył się na odległość dwudziestu stóp, Harry zerwał się, napiął mięśnie i czekał na szarpnięcie. Christopher poderwał się w tej samej chwili. Młody szlachetny zdążył tylko spojrzeć ze zdziwieniem, zanim uderzył o linę, która wyciągnęła zapierającego się obcasami Harry'ego na środek jezdni. Christopher przywiązał swój koniec liny do młodego drzewka. Szlachetny runął na jezdnie. Motocykl zwolnił i zatrzymał się. Harry wyplątał się z liny i podbiegł do szlachetnego. Był w wieku

Harry'ego, jego wzrostu i tuszy. Miał zajęczą wargę i uschniętą nogę. Już nie żył. Jego czaszka była zdruzgotana. Harry zamknął oczy. Widział już umierających ludzi, ale nigdy nie był sprawcą czyjejs śmierci. To wyglądało na złamanie przysięgi Hipokratesa. - Tacy muszą umrzeć - szepnął Pearce. - Lepiej, gdy źli umierają młodo.

Harry rozebrał się szybko i nałożył ubranie oraz gogle szlachetnego. Umocował pistolet na biodrze i odwrócił się w stronę Christophera i Pearce'a.

- Co będzie z wami?

- Nie będziemy próbowali uciekać - odparł Pearce. - Nie o to chodzi.

Czy dacie sobie radę?

Pearce położył dłoń na ramieniu chłopca. - Christopher się mną zaopiekuje. Znajdziemy cię, gdy uwolnisz Marne. Przeświadczenie, z którym Pearce wypowiedział te słowa, dodało Harry'emu sił. Nie tracił czasu. Wsiadł na motocykl, przekręcił manetkę gazu i gwałtownie ruszył. Jazda jednośladem wymagała zręczności, ale Harry miał już doświadczenie w prowadzeniu podobnych pojazdów w podziemnych arteriach Centrum Medycznego. Ręka bolała go, ale teraz ból stał się czymś w rodzaju systemu naprowadzania. Zauważył, że w miarę jazdy ból się zmniejsza. Oznaczało to, że zbliża się do Marny.

Zanim ją znalazł, zapadła noc.

Wyboista, asfaltowa droga skręciła na wschód i ból w ramieniu Harry'ego wyraźnie się zmniejszył. Droga urwała się przed zwartą ścianą zarośli. Harry w ostatniej chwili zdążył zahamować. Zamarł bez ruchu na siodełku i zamyślił się.

Do tej pory nie zastanawiał się, co będzie robił w chwili, gdy odnajdzie Marne. Po prostu rzucił się w pościg, powodowany częściowo promieniującym od bransolety na przegubie bólem, częściowo zaś rodzącym się uczuciem przywiązania do tej dziewczyny.

- Ralf? - spytał ktoś w ciemności i w tym momencie Harry stracił ostatnią możliwość wycofania się.

- Tak. Gdzie są wszyscy? - wyseplenił.

- Tam, gdzie zawsze - pod skarpią.

Harry, utykając, ruszył w stronę, z której dobiegał głos. - Nicz nie widze.

- Poświecę.

Coś rozświetliło drzewa i przed Harrym wyrósł czarny kształt. Harry mrugnął, rzucił ukradkowe spojrzenie w bok i kantem dłoni uderzył szlachetnego w czwarty krąg szyjny. Gdy tamten wolno osiadał na ziemi, Harry złapał w powietrzu latarkę i podtrzymał padające ciało. Ułożył na trawie bezwładny kształt i pomacał kark leżącego. Był przetrącony, ale szlachetny jeszcze oddychał. Wyprostował mu głowę, by zmniejszyć nacisk na tkankę nerwową i popatrzył w górę.

Gdzieś przed nim błyszczało i migotało światło. Nie słychać było żadnego ruchu, żadnego dźwięku - najwidoczniej nikt nic nie zauważył. Włączył latarkę, ujrzał ścieżkę i ruszył przez młody las. Oknisko było rozłożone pod glinianym nawisem w taki sposób, że z góry nie było go widać. Piekła się nad nim cała, młoda sarna, obracana na różnie przez

jednego ze szlachetnych. Harry zidentyfikował świdrujący go w dołku ssący ból - to był głód.

Pozostali szlachetni siedzieli półkolem wokół ognia. Marna ze skrępowanymi rękami znajdowała się nieco dalej. Głowę miała uniesioną, jej oczy uważnie wpatrywały się w ciemność za ogniskiem, jakby szukając czegoś wzrokiem. Czegoś? Oczywiście, szukała jego. Bransoletka zasygnalizowała jej, że Harry jest gdzieś blisko. Bardzo chciał dać jej jakiś znak, ale było to niepodobieństwem. Przyglądał się szlachetnym: jeden był albinosem, drugi - makrocefalem, trzeci był garbaty. U pozostałych Harry nie zauważył widocznych ułomności czy usterek fizycznych. U wszystkich, prócz jednego, wyglądającego na starszego od pozostałych członków grupy Stał on oparty o brzeg skarpy. Był niewidomy, lecz w jego oczodołach chirurgicznie osadzono lornetę z elektronicznym sterowaniem. Na plecach miał zasobnik z zasilaniem, od którego prowadziły przewody do lornetki i do umocowanej do kurtki anteny. Harry ostrożnie przeszedł skrajem lasu na tę stronę ogniska, gdzie siedziała Marna.

- Najpierw uczta - rozkoszował się albinos - a potem zabawa.

Ten, który obracał rożen, zaproponował:

- A ja uważam, że najpierw powinniśmy się zabawić - wtedy będzie nam dobrze i będziemy głodni.

Zaczęli się spierać, najpierw dobrodusznie, potem, w miarę jak do dyskusji zacieli przyłączać się inni, coraz bardziej zażarcie. Wreszcie albinos zwrócił się do tego z lornetką:

- A co ty na to powiesz, Oczy?

Oczy odpowiedział głębokim, niskim głosem:

- Dziewczyna sprzedać. Młode części są najcenniejsze.

- Ba - odparł albinos - ale ty nie widzisz, jaka z niej ślicznotka. Dla ciebie to tylko wzór z białych kropek na szarym kineskopie. A dla nas jest biała, różowa, czarna i...

- Któregoś dnia - powiedział Oczy spokojnie - posuniesz się za daleko.

- Nie z nią. Ja nie...

Pod nogą Harry'ego trzasnęła gałązka. Wszyscy umilkli i zaczęli nasłuchiwać. Harry wyjął pistolet z kabury.

- To ty, Ralf? - spytał albinos.

- Tak - odparł Harry, wychodząc na oświetloną przestrzeń i stojąc w ten sposób, by blask płomieni nie oświetlał mu twarzy. Pistolet trzymał tuż przy udzie.

- Wyobraź sobie - rzekł albinos - ta dziewczyna powiada, że jest córką Gubernatora.

- Jestem - odparta Marna z naciskiem - I ojciec każe was za to pomalutku obedrzeć ze skóry.

- Ale to ja jestem Gubernatorem, kochanie - zapiszczał falsetem albinos - i mam w...

- To nie Ralf - przerwał mu Oczy. - Ma zdrową nogę.

Harry zaklął w duchu. Co za pech. Lornetka była dostosowana nie tylko do odbioru obrazu radarowego, ale i promieni Rentgena.

- -Uciekaj! - wrzasnął, wykorzystując chwilę ciszy, która zapadła po słowach Oczu.

Strzelił. Celował przede wszystkim w Oczy. Trafu o w zasilacz.

Szlachetny krzyknął przeraźliwie i zaczął szarpać osadzoną w oczodołach lornetkę. Ale Harry nie zwracał już na niego uwagi. Wywalił cały magazynek w skarpe nad ogniskiem. Rozpulchniona gorącym glina runęła w dół zasypując ogień i siedzących

najbliżej skarpy szlachetnych.

Uskoczył w bok. Kilka pocisków przeleciało przez miejsce, w którym znajdował się przed chwilą.

Rzucił się w las i zaczął biec. Objął się o drzewa, ale biegł dalej.

Zgubił gdzieś latarkę. Za jego plecami odgłosy pościgu stawały się coraz słabsze, aż wreszcie zupełnie ucichły.

Całym rozpadem wpadł na coś miękkiego i ciepłego, co ustąpiło pod jego naporem i upadło na ziemię. Potknął się, przewrócił. Jego pieść uniosła się, gotowa do zadania ciosu.

- Harry - usłyszał głos Marny.

Wzniesiona do uderzenia ręka opadła miękko, przygarniając mocno dziewczyna.

- Marna! - załkał. - Nie wiedziałem, że to ty. Nie sądziłem, że misie uda. Myślałem, że byłaś...

Ich bransolety szczęknęły o siebie. Miękkie do tej pory ciało Marny zesztyniało nagle. Dziewczyna odepchnęła go gwałtownie.

- Nie roztkliwiajmy się za bardzo - powiedziała ostro. - Wiem, dlaczego to zrobiłeś. A poza tym, usłyszają nas.

Harry ze złością nabrał powietrza do płuc i westchnął głęboko. Zaczęła wstawać.

- Siedź spokojnie! - warknął. - Musimy poczekać, aż przestaną nas szukać.

Siedzieli w ciemności i czekali wsłuchując się w odgłosy nocnego lasu.

Minęła godzina. Harry miał właśnie zamiar powiedzieć, że chyba mogą już ruszać, gdy nagle usłyszał szelest. Zwierze czy człowiek - wróg? Marna, która do tej pory nie dotknęła go, ani nie odezwała się, chwyciła go z całej siły za ramię.

- Doktorze Elliott! Marna! - usłyszeli szept Christophera.

Ciepła fala ulgi spłynęła na Harrego.

- Ty cudowny, mały diable! Jakim cudem nas znalazłeś?

- Dziadek mi pomógł. On to potrafi wyczuć. Ja też, trochę, ale on jest lepszy.

Chodźmy. - Harry poczuł, jak mała dłoń ujmuje go za rękę.

Christopher prowadził ich długo, ale wreszcie wyszli na niewielką polankę. Pod osłoną szałasiku z liści jarzyło się przytłumionym żarem ognisko. Pearce siedział przy nim, obracając wolno rożen, zrobiony ze świeżo ściętej gałązki, opartej na dwóch rozwidlonych patykach. Na rożnie skwierczały złocistobrazowe tuszki królików.

Gdy znaleźli się na polance, niewidzące spojrzenie Pearce'a skierowało się w ich stronę.

- Witajcie - powiedział. Harry poczuł, jak ogarnia go wzruszenie. To przypominało powrót do domu. - Dzień - rzekł ochryplym głosem.

Marna uklękła przed ogniskiem, grzejąc nad nim wyciągnięte dłonie. Z jej przegubów zwisała przedarta lina, którą pracowicie rozszczepiała przy tamtym ognisku.

Gdy Christopher zdjął króliki z rożna, mięso nieomal się rozpadało.

Owinął zadnie części w wilgotne, zielone liście i wepchnął je w chłodną dziuple pod dwoma korzeniami.

- To na śniadanie - powiedział.

Cała czwórka zabrała się do jedzenia. Nawet bez soli był to najwspanialszy posiłek, jaki Harry kiedykolwiek jadł. Gdy skończył, oblizał palce, westchnął i opadł na stertę

starych liści. Czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Trochę dręczyło go pragnienie, nie chciał bowiem pić z płynącego nieopodal ich zaimprovizowanego obozu strumyka, ale mógł je bez trudu wytrzymać. W końcu człowiek nie powinien rezygnować ze wszystkich swoich zasad. Byłoby ironią losu umrzeć na tyfus tak blisko od nieśmiertelności. Nie wątpił, że Gubernator przyzna mu nieśmiertelność albo przynajmniej zapewni mu stanowisko, na którym będzie mógł ją osiągnąć. Przecież ocalił jego córkę.

Marna była ładną dziewczyną. Szkoda, że to jeszcze dziecko. Harry westchnął jeszcze raz i wyciągnął się wygodnie. Tej nocy będzie dobrze spał.

Marna umyła się w strumyku. Twarz miała czystą, promienną.

- Będiesz spała tu przy mnie? - spytał ją Harry, wskazując suche liście. Przepraszającym gestem uniósł rękę, z bransoletą. - Nie pozwala mi zasnąć, gdy jesteś zbyt daleko ode mnie.

Zimno skinęła głową i usiadła przy nim - w takiej jednak odległości, by uniknąć przypadkowego dotknięcia.

- Nie mogę pojąć - powiedział Harry - dlaczego napotkaliśmy tak wiele przypadków potwornictwa. Nie przypominam sobie, żebym w czasie mojej praktyki w Centrum Medycznym zetknął się choć z jednym.

- Pracowałeś w klinice? - spytał Pearce. I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. - Medycyna w coraz większym stopniu przekształca się w leczenie potworów. W mieście umarłyby, ale w suburbiach utrzymuje się je przy życiu i dopuszcza do ich rozmnażania. Pozwól, że obejrzę twoją rękę.

Harry drgnął. Pearce powiedział to tak zwyczajnym tonem, że Harry na moment zapomniał, iż starzec nie widzi. Jego delikatne palce rozwiązały bandaże i ostrożnie zdjęły sfilcowaną trawę.

- Już ci więcej nie będzie to potrzebne - powiedział.

Harry ze zdziwieniem dotknął rany dłonią. Od wielu godzin nie czuł bólu. A teraz w tym miejscu była już tylko blizna. Położył się na pościeli z liści czuląc przy sobie obecność Marny. Pragnął wyciągnąć rękę i dotknąć ją, ale nie zrobił tego. W przeciwnym razie nie będzie prawa, bezpieczeństwa, nie będzie nieśmiertelności.

Obudziła go bransoleta. Przegub zaczął go świerzbić. Potem boleć. Harry wyciągnął rękę. Pościel z liści było jeszcze ciepłe ale Marna znikła.

- Marna! - szepnął. Uniósł się na łokciu. W sączącym się przez gałęzie drzew świetle gwiazd spostrzegł, że poza nim na polanie nie ma nikogo. Miejsca gdzie spali Pearce i chłopiec były puste. -Gdzie jesteście? - powiedział nieco głośniej.

Zaklął pod nosem. Odczekali i uciekli. Ale w takim razie, czemu Christopher odnalazł ich w lesie i przyprowadził tutaj? I na co liczy Marna? Że dotrze do pałacu sama?

Harry drgnął, słysząc chrzest suchych liści. Zamarł w bezruchu. W chwili później oślepiło go jaskrawe światło.

- Nie ruszaj się! - powiedział ktoś wysokim głosem. - W przeciwnym razie będę musiał cię zastrzelić. A jeśli spróbujesz umknąć, Węszyciel cię wytropi.

Głos był opanowany i rzeczowy. Ręka, która trzyma pistolet, pomyślał Harry, jest zapewne równie opanowana i precyzyjna.

- Nie ruszam się - odparł Harry. - Kim jesteś?

Głos pomiął milczeniem jego pytanie.

- Było was czworo. Gdzie troje pozostałych?

- Usłyszeli jak nadchodzisz. Czekają na dogodną chwilę, by cię zaatakować.

- Kłamiesz - oznajmił z pogardą głos.

- Posłuchaj mnie - powiedział Harry natarczywie. - Po głosie sądząc, nie jesteś obywatelem. Jestem lekarzem - zadaj mi jakieś pytanie z medycyn, obojętnie jakie. Mam do spełnienia pilną misję. Niosę wiadomość dla Gubernatora.

- Jaką wiadomość?

Harry gwałtownie przełknął ślinę.

- Transport został porwany. Następny będzie gotowy nie wcześniej niż przed upływem tygodnia.

- Jaki transport?

- Nie wiem. Jeżeli jesteś szlachetnym, musisz mi pomóc.

- Usiądź. - Harry usiadł.

- Mam dla ciebie wiadomość. Nie przekażesz swojej wiadomości.

- Ale... - Harry poderwał się.

Gdzieś za światłem rozległa się cicha eksplozja - niewiele głośniejsza niż gwałtowny wydech. Coś ukuło Harry'ego w pierś. Spojrzał w dół. Między połamami jego bluzy wisiała mała strzałka. Próbował sięgnąć po nią i nie mógł. Nie był w stanie poruszyć ręką. Nie mógł również poruszyć głową. Przewrócił się na bok nie czując wcale upadku. Odniósł wrażenie, że tylko wzrok, słuch i praca płuc nie uległy zmianie. Leżał, sparaliżowany, a myśli pędziły mu pod czaszką.

- Tak - oznajmił spokojnie głos. - Jestem wampirem. Niektórzy z moich przyjaciół są łowcami głów, ja natomiast poluje na ciała i dostarczam je żywcem. To lepsza zabawa. I lepszy zysk. Głowy są warte zaledwie dwadzieścia dolarów za sztukę, ciała - ponad setkę. Niektóre, z narządami tak młodymi jak twoje, są warte o wiele więcej. Idź, Wescyiel. Szukaj innych.

Światło zgasło. Coś zatrzeszczało w gąszczu i oddaliło się. Po jakimś czasie Harry dostrzegł czarną postać, siedzącą na ziemi w odległości jakichś dziesięciu jardów.

- Zapewne jesteś ciekaw, co się z tobą stanie - powiedział wampir. - Gdy tylko znajdę twoich towarzyszy, sparaliżuje także ich i przywołam moje nosze. Przetransportuje was do mojego śmigłowca. A potem, biorąc pod uwagę, że przyszliscie z Kansas City, zawiozę was do Topeki.

Harry poczuł, że gaśnie w nim ostatni promyk nadziei.

- Przekonałem się, że to najlepszy sposób - ciągnął wysoki głos. - Pozwala uniknąć komplikacji. Szpital w Topeka, z którym prowadzę interesy, kupi wasze ciała bez zbędnych pytań. Jesteś sparaliżowany na stałe, a więc, nie tracąc przytomności, nie będziesz czuł bólu; W ten sposób narządy nie będą ulegały rozkładowi. Jeżeli jesteś jak twierdzisz, lekarzem, wiesz co mam na myśli. Może nawet znasz naukową nazwę trucizny, jakiej użyłem w tej strzałce. Ja wiem tylko tyle że została ona wysyntetyzowana z jadu osygrzebacza. Dzięki odżywianiu dożylnemu, te znakomite banki narządów można utrzymać latami, aż nadejdzie ich pora...

Głos ciągnął dalej, ale Harry już go nie słuchał. Zdawało mu się, że oszaleje. Tak się często zdarzało. Widział ich, leżących na kółkach w bankach narządów, z oczyma

przepełnionymi szaleństwem. Wtedy tłumaczył sobie, że znaleźli się tu właśnie z racji swej choroby psychicznej, ale teraz znał prawdę. Wkrótce będzie jednym z nich.

Może uda mu się udusić, zanim dostarczą go do szpitala, zanim wetkną mu w gardło rurę, na pierś położą mu respirator i podłączą kroplówkę do rąk. Czasami się dusili, mimo opieki.

Nie, nie oszaleje. Jego psychika była zbyt silna. Wytrzyma wiele miesięcy.

Usłyszał, jak coś poruszyło się w zaroślach. W oczy błysnęło mu światło. Zakotłowały się ciała. Ktoś stęknął. Ktoś inny wrzasnął. Rozległo się ciche puff! A potem w ciszy, która nagle zapadła, słychać było czyjś szybki oddech.

- Harry! - zawołała zaniepokojonym głosem Marna. - Harry! Nic ci się nie stało?

W chwili, gdy przysadzisty Węszyciel powłócząc nogami wylazł na polankę, znów zrobiło się jasno. Przez smugę światła przekuśtykał Pearce. Za nim szli Christopher i Marna. Niedaleko nich, na ziemi leżała powykręcana postać. Harry nie mógł uzmysłwić sobie, co to takiego i dopiero po chwili zorientował się, że to karzeł, gnom, człowieczek z małymi, cieniutkimi nóżkami, powyginanym grzbietem i wielką, guzowatą głową. Na jej czubku rosły skąpe, czarne włosy. Jego oczy płonęły czerwienią, przepojone nienawiścią do całego świata.

- Harry! - tym razem głos Marny przypominał jęk.

Nie odpowiedział. Nie mógł. Przez chwilę myślał, że nie jest w stanie odpowiedzieć sprawiła mu przyjemność, ale natychmiast ogarnęła go litość nad samym sobą.

Marna podniosła z ziemi miotacz strzałek i cisnęła go daleko w zarośla.

- Co za wstrętna broń!

Harry'emu wrócił rozsądek. A więc jednak nie uciekli. Po prostu, tak jak powiedział wampirowi, zniknęli, by przyjść mu z pomocą, gdy tylko nadarzy się sposobność. Ale wrócili zbyt późno. Był sparaliżowany na stałe. Na te truciznę nie było antidotum. Może teraz go zabiją. W jaki sposób ma im dać znać, że chce, by go zabili? Zamrugał gwałtownie.

Marna przysunęła się do niego. Ułożyła jego głowę na swoim łonie. Jej dłoń bez przerwy gładziła go po włosach. Pearce ostrożnie wyjął strzałkę i wdeptał ją głęboko w ziemię.

- Zachowaj spokój - powiedział. - Nie poddawaj się. Coś takiego, jak stały paraliż nie istnieje. Jeżeli spróbujesz, zobaczysz, że możesz poruszyć małym palcem. - Uniósł dłoń Harryego, poklepał ją delikatnie.

Harry spróbował poruszyć palcem, ale bez skutku. Co się z tym starym szarlatanem dzieje? Dlaczego go nie zabije i nie zakończy tego wszystkiego. Pearce mówił dalej, ale Harry już go nie słuchał. Po co robić sobie płonne nadzieje? To sprawia tylko większy ból.

- Transfuzja może mu pomóc - powiedziała Marna.

- Tak - zgodził się Pearce. - Jesteś skłonna to zrobić?

- Wiesz, kim jestem?

Oczywiście. Christopher obszukaj wampira. Powinien mieć przy sobie igły i cewniki na wypadek, gdyby musiał nagle wykonać zabieg na swojej ofierze. - Pearce znowu zwrócił się do Marny. - Krew będzie się trochę mieszać.

Trucizna wniknie do twojego organizmu.

Głos Marny przepojony był goryczą. - Nawet cyjanek mi nie zaszkodzi.

Rozpoczęły się przygotowania. Harry nie mógł się na nich skoncentrować. Przedmioty zamazywały się. Czas posuwał się w tempie lodowca.

W chwili, gdy pierwsze, szare światło poranka przebiło się przez gałęzie drzew Harry poczuł, jak życie drgnęło boleśnie w jego małym palcu. Było to gorsze niż wszystko, z czym się do tej pory zetknął, stokroć gorsze niż ból sprawiony przez bransoletę. Ból przepływał do innych palców do stóp, ramionami i nogami przedostawał się do tułowia. Chciał poprosić Pearce'a, by przywrócił mu stan paraliżu, ale nim minęło porażenie gardła, ból prawie ustąpił. Gdy mógł wreszcie usiąść, rozejrzał się, szukając wzrokiem Marny.

Siedziała oparta o pień drzewa, oczy miała zamknięte, była bardzo blada.

- Marna! - odezwał się. Jej oczy otwarty się powoli, ze znużeniem.

Błysnęła w nich radość i ponownie się zamglily.

- Nic mi nie jest - odparła.

Harry podrapał miejsce, w którym wbita była igła.

- Nie mogę pojąć... ty i Pearce... wyciągnęłaś mnie z tego... choć...

- Nie próbuj tego zrozumieć - stwierdziła. - Po prostu przyjmij to do wiadomości.

- To niemożliwe - mruknął. - Kim ty jesteś?

- Córką Gubernatora.

- A poza tym?

- Cartwrightem odparła z goryczą.

Jego myśli zawirowały. Jedno z Nieśmiertelnych. Nic więc dziwnego, że jej krew zwalczyła truciznę. Krew Cartwrightów w szczególny sposób oddziaływała na obce substancje. Pomyślał o czymś innym

- Ile masz lat?

- Siedemnaście - odparła. Spojrzała na swą szczupłą figura. - My, Cartwrightowie, dojrzewamy późno. To dlatego Weaver posłał mnie do Centrum Medycznego - sprawdzić, czy jestem już płodna. Płodny Cartwright nie może marnować czasu rozmnażania.

Nie miał żadnej wątpliwości - nienawidziła swego ojca. Nazywała go Weaver.

- Zmusi cię do rozmnażania - powiedział osłupiały.

- Sam spróbuje to zrobić - odparła spokojnie. - Nie jest zbyt płodny.

Dlatego jesteśmy tam tylko we trzy - moja babka, matka i ja. Potrafimy nieco kontrolować proces poczęcia - zwłaszcza, gdy jesteśmy dorosłe. Nie chcemy jego dzieci, nawet jeżeli dzięki temu byłybyśmy mu mniej potrzebne. Obawiam się - jej głos załamał się obawiam się, że nie jestem wystarczająco dorosła.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - spytał Harry natarczywie.

- Żebyś traktował mnie jak Cartwrighta? - W jej oczach zapłonęła złość.

- Cartwright nie jest człowiekiem, wiesz przecież. To chodzący bank krwi, żywa fontanna młodości, coś, co się posiada, używa, strzeże, ale czemu nie pozwala się żyć samodzielnie. A poza tym - opuściła głowę - nie wierzysz mi. W to, co mówiłam o Weaverze.

- Przecież on jest Gubernatorem! - zawołał Harry. Zobaczył wyraz jej twarzy i odwrócił się. Jak może jej to wytłumaczyć? Człowiek ma swoją pracę, ma swe obowiązki. Nie może się z nich wycofać. A poza tym - bransolety Tylko Gubernator ma klucz. Połączeni nimi, nie przetrwają długo. Znowu zostaną rozdzieleni - przez przypadek lub

siłą, a wtedy on umrze. Wstał z ziemi. Las przez chwile wirował mu przed oczyma, aż wreszcie uspokoił się. -

- Znów winienem ci wdzięczność - zwrócił się do Pearce'a.

- Bardzo trwałeś przy swych przekonaniach - szepnął Pearce - ale była w tobie ta odrobina zdrowego rozsądku, która współdziałała ze mną. Powiadają, że lepszy jest zdrowy człowiek z okaleczonymi poglądami, niż kaleka z nienaruszonymi przekonaniem.

Harry popatrzył poważnie na starego człowieka. Albo był on prawdziwym uzdrowicielem, który nie jest w stanie wyjaśnić, w jaki sposób dokonuje swych cudów, albo świat jest bardziej szalony, niż Harry kiedykolwiek to sobie wyobrażał. - Jeżeli zaraz ruszymy - powiedział - dotrzemy do pałacu w południe.

Pałac Gubernatora stał na szczycie wzgórza przypominającego literę L i piętrzącego się w widłach dwóch dolin rzek. Dawniej w tym miejscu znajdował się wielki uniwersytet, lecz swego czasu podatki przeznaczane na jego utrzymanie zostały skierowane na bardziej żywotne potrzeby. Liczba wspierających osób zmniejszała się w miarę, jak zwiększało się zapotrzebowanie na badania medyczne i opiekę lekarską. Wkrótce przestano interesować się rozmaitymi naukowymi fatalaszkami i uniwersytet umarł.

Gubernator wybudował tu swój pałac jakieś siedemdziesiąt pięć lat temu, wtedy gdy w Topece nie można już było wytrzymać. Na długo przedtem funkcja ta stała się dożywotnią a mógł żyć wiecznie.

Stan Kansas był baronią. Określenie było dla Harry'ego niezrozumiałe, bowiem jego wiedza historyczna ograniczała się wyłącznie do historii medycyny. Gubernator był feudalnym baronem, jego pałac był zamkiem. Wasalami byli szlachetni z przedmieść którym płacił nieśmiertelnością lub nadzieją jej uzyskania. Gdy tylko któryś z nich otrzymał zastrzyk, miał tylko jedną alternatywę - być lojalnym wobec Gubernatora i żyć wiecznie (chyba, że zdarzyłby się jakiś wypadek) lub umrzeć po trzydziestu dniach.

Gubernator od czterech tygodni nie otrzymał przesyłki. Szlachetni znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji.

Pałac był właściwie fortecą. Jego zewnętrzne mury miały pięć stóp grubości i wykonano je ze sprężonego betonu, zbrojonego pięciocalowymi płytami pancernymi. Wokół murów ciągnęła się pełna piranii fosa.

Nad pierwszą linią murów piętrzyły się mury wewnętrzne. Pusta przestrzeń między nimi była wyłożona płytami i w każdej chwili mogła zostać zalana napalmem. W murach ukryte były gniazda zdalnie sterowanych pocisków.

Sam pałac wznosił się jak ziggurat, tarasowymi stopniami. Na każdym dachu znajdowała się ferma hydroponiczna. Na samym szczycie budynku umieszczona była szklana nadbudówka mieszkalna. Na sterczącym nieopodal niej maszcie obracał się talerz anteny radaru.

Większa część pałacu, podobnie jak góra lodowa, ukryta była pod powierzchnią. Wgryzała się w wapien i granit na milę głęboko. Budowla była nieomal żywą istotą, automaty nadzorowały ją doprowadzały powietrze ogrzewały i chłodziły, dostarczały

wodę strzegły przed nieprzyjaciółmi i zabijały ich, gdy podchodzili zbyt blisko.

Całym pałacem mogła kierować zaledwie jedna osoba. I tak też było w chwili obecnej.

Do wnętrza nie prowadziło żadne wejście. Harry stanął przed murami i zaczął machać swą bluzą:

- Hej tam, w pałacu! Wiadomość z Centrum Medycznego dla Gubernatora.

Hej tam, w pałacu!

- Kto przybywa do mnie z wiadomością? - odezwał się pałac potężnym boskim głosem.

- Doktor Harry Elliott. Mam ze sobą córkę Gubernatora, Marnę i znachora.

Ponad zewnętrznym murem ukazało się ramię dźwigu. Zwisał na nim wielki, metalowy samochód. Gdy znalazł się na ziemi, otworzyły się w nim drzwi.

- Stańcie przed moim obliczem - rzekł pałac.

Samochód był pełen kurzu. Podobnie przybudówka, w której zostali umieszczeni. Obszerny basen był pusty, kwiaty, krzewy i palmy uschły.

W połyskującej jak lustro centralnej kolumnie, jak czarne usta rozwarły się drzwi.

- Wejdźcie - powiedziały.

Winda długo wiozła ich w dół. W końcu drzwi otworzyły się na obszerny salon, utrzymany w różnych odcieniach brązu. Jedną ze ścian w całości zajmował ekran.

Marna wybiegła z windy. - Mamo! - zawołała. - Babciu! Przebiegła przez cały apartament. Harry nieco wolniej poszedł jej śladem.

Z długiego holu prowadziły drzwi do sześciu sypialni. W jego końcu znajdował się pokój dziecienny. Z drugiej strony salonu widniały wejścia do jadalni i kuchni. W każdym pokoju był ekran na całą ścianę. Wszystkie pokoje były puste.

- Mamo? - odezwała się znowu Marna.

Ekran w jadalni rozbłysnął. Pojawił się na nim obraz olbrzymie o stworzenia, kołyszającego się na pneumatycznych poduszkach. Było ono niewiarygodnie tłuste, przypominało morze falującego i dygocącego ciała. Było nagie, lecz jego płeć była zagadką. Piersi wyglądały jak olbrzymie wały tłuszczu, jednak między nimi widać było rzadkie włosy. Przypominająca księżyc w pełni twarz była nieproporcjonalnie mała w porównaniu z tym fantastycznym ciałem, oczy wyglądały w niej jak dwa rodzyнки.

Ssało z rurki jakąś substancję, a gdy zobaczyło ich na ekranie, baloniastą ręką odsunęło rurkę na bok. Zachichotało. Zabrzmiało to jak chichot bogów.

- Halo, Marna - powiedziało głosem, w którym rozpoznali głos pałacu. - Szukasz kogoś? Wiesz, twoja matka i babka sprzeciwiały się moim planom. Bezpłodne stworzenia! Podłączyłem je bezpośrednio do banku krwi - teraz już nie będzie opóźnień w dostawach krwi...

- Zabijesz je! - Marnie zaparto dech w piersi.

- Cartwrightów, głupia dziewczyno? A poza tym, dziś będzie nasza noc poślubna i nie będziemy chcieli mieć ich tu przy sobie. Prawda, Marno?

Marna cofnęła się do salonu, ale stworzenie i tam patrzyło na nią z ekranu. Zwróciło podobne do rodzynek oczy w stronę Harryego.

- -To ty jesteś lekarzem z wiadomością. Mów.

Harry zmarszczył brwi.

- To pan jest... gubernatorem Weaverem?

- We własnej postaci, chłopcze. - Stworzenie roześmiało się zduszonym śmiechem.

Fale tłuszczu zakołysały się na całym jego ciele.

Harry nabrał głęboko powietrza w płuca.

- Ładunek został porwany. Następny będzie gotowy za tydzień.

Weaver zmarszczył brwi i serdelkowatym palcem dotknął czegoś poza polem widzenia kamery.

- No! - Popatrzył na Harry'ego i uśmiechnął się jak idiota. - Właśnie wysadziłem w powietrze biuro dziekana Mocka. Siedział w nim. To sprawiedliwe. Od dwudziestu lat podprowadzał mi systematycznie porcje eliksiru.

- Eleksiru? Ale... - Wiadomość o Mocku była zbyt niewiarygodna, by się nią przejmować. Harry nie uwierzył w nią. To wiadomość o eliksirze nim wstrząsnęła.

Usta Weavera ułożyły się w dzióbek, jakby w wyrazie współczucia.

- To był dla ciebie wstrząs, jak widzę. Mówiono ci, że nie zdołano dotąd wysyntetyzować eliksiru. Nieprawda. Kilkaset lat temu dokonał tego lekarz o nazwisku Russell Pearce. Miałeś zamiar opracować metodę syntezy i, być może, otrzymać za to nieśmiertelność w nagrodę. Nie, nie jestem telepatą. Pięćdziesięciu lekarzy na stu marzy o tym samym. Powiem ci coś, doktorze - to ja stanowią całe ciało wyborcze, To ja decyduje, kto ma zostać nieśmiertelny i ta arbitralność sprawia mi przyjemność. Bogowie zawsze są arbitralni. To właśnie czyni ich bogami. Mogę ci dać nieśmiertelność. Zrobię to, zrobię. Jeżeli będziesz mi dobrze służyć, doktorze, to gdy zaczniesz się starzeć, uczynię cię znowu młodym. Mogę cię mianować dziekanem Centrum Medycznego. Co o tym myślisz?

Weaver znowu zmarszczył brwi.

- Nie, nie zrobię tego - ty również będziesz mi podkradać eliksir jak Mock i nie będziesz dostarczać ładunków, których potrzebuję dla moich szlachetnych. - Podrapał się między piersiami. - Co mam zrobić? - Jęknął. - Umierają moi najwierniejsi. Nie mogę dać im zastrzyków i ich własne dzieci napadają na swych rodziców. Pewnego dnia Whitey zakradł się do swego ojca i sprzedał go śmieciarzowi. Starzy strzegą swoich młodych przed niebezpieczeństwem. Starzy jednak umierają, a młodzi nie potrzebują eliksiru, jeszcze nie potrzebują. Ale będą potrzebować. Wtedy przyczołgają się do mnie na kolanach, żebrząc, ale ja będę się im śmiać prosto w twarz i pozwolę im umrzeć. Tak, jak to Weaver podrapał się po przegubie ręki.

- Widzę, że wciąż jesteś wstrząśnięty wiadomością o eliksirze. Myślisz, że można by go było produkować całymi galonami, uczynić wszystkich młodymi. Pomyśl o tym trzeźwo. Wiemy, że to absurd, prawda? Nie można by go było nastarczyć. I jaką cenę miałyby nieśmiertelność, gdyby wszyscy żyli wiecznie? - Tan jego głosu uległ zmianie, stał się nagle bardzo rzeczowy. - Kto porwał ładunek? Czy to ten człowiek?

W dolnej części ekranu pojawił się portret.

- Tak - odparł Harry. Czuł zawrót głowy. Wyjaśnienia i nieśmiertelność, wszystko razem. To spadło na niego zbyt gwałtownie.

Weaver potarł wierzchem dłoni swe pulchne wargi.

- Cartwrightt Jak on to robi? - W jego głosie zabrzmiała nuta przerażenia. - Ryzykować wieczność. Jest szalony, tak, ten człowiek jest szalony. Chce umrzeć. - Potężna masa cielska zadrżała. - Niech spróbuje ze mną. Dam mu te upragnioną śmierć. - Znów

popatrzył na Harryego i podrapał się po karku. - Jak się tu dostaliście?

- Przyszliśmy - odparł Harry.

- Przyszliście! Niewiarygodne!

- Proszę zapytać zarządcę motelu koło Kansas City albo wilcze stado, któremu nieomal udało się porwać Marne, albo wampira, który mnie sparaliżował. Potwierdzą, że przyszliśmy na piechotę.

Weaver podrapał się po swym ogromnym brzuchu.

- Ach, te wilcze stada. Mogą być uciążliwe. Ale z drugiej strony, przydają się. Utrzymują kraj w porządku. Ale skoro twierdzisz, że byłeś sparaliżowany, to czemu jesteś tu, a nie czekasz na to, by cię położono na półce w jakimś banku narządów?

- Znachor zrobił mi transfuzje z krwi Marny. - Harry zbyt późno dostrzegł, że Marna daje mu znaki, by nie odpowiadał.

Twarz Weavera zachmurzyła się.

- Ukradłeś moją krew? Teraz przez miesiąc nie będę mógł pobierać z niej krwi! Będę musiał cię ukarać. Ale nie teraz, później, gdy obmyślę coś, co będzie właściwą karą za twoją zbrodnię..

- Miesiąc to zbyt mało - powiedział Harry. - Nic dziwnego, że ta dziewczyna jest taka blada, skoro co miesiąc upuszczasz jej krew. Zabijesz ją:

- Ale przecież ona jest Cartwrightem - odparł Weaver, zdziwiony - a ja potrzebuje krwi.

Harry zacisnął wargi. Uniósł rękę z założoną bransoletą.

- Czy mogę prosić o klucz?

- Powiedz mi - spytał Weaver, drapiąc się pod piersią - czy Marna jest płodna?

- Nie, proszę pana. - Harry spojrzał Gubernatorowi Kansas prosto w oczy. - A klucz?

- Aj, aj, aj - zawołał Weaver. - Mam wrażenie, że gdzieś go zarzuciłem. Będziecie musieli trochę ponosić te bransolety. No cóż, Marna. Sprawdzimy tej nocy, jak to jest z tą płodnością, co? Znajdź coś odpowiedniego na noc poślubną, dobrze? I staraj się nie mącić tej uroczystości płaczem, jękami i krzykami bólu. Przybądź pełna czci i radości.

- Jeżeli mam mieć dziecko - odparta Marna z pobladłą twarzą - to tylko przez dzieworództwo.

Morze cielska zakotłosało się z wściekłością.

- Może jednak będą krzyki tej nocy. Tak. Znachorze! Hej, ty obrzydliwy staruchu z chłopakiem. Jesteś podobno uzdrowicielem.

- Tak mnie nazywają - szepnął Pearce.

- Słyszałem, że czynisz cuda. No cóż, masz więc uczynić ze mną cud. - Weaver podrapał się po grzbiecie dłoni. - Swędzi mnie. Lekarze nic u mnie nie znaleźli i umarli. To mnie doprowadza do szaleństwa.

- Leczę dotykiem - odparł Pearce. - Każdy leczy się sam, ja tylko pomagam.

- Nikt nie może mnie dotykać - oznajmił Weaver. - Wyleczysz mnie nim zapadnie noc. Bez żadnych wykrętów. W przeciwnym razie rozzłoszczę się na ciebie i tego chłopca. Tak, bardzo się na was rozzłoszczę, jeżeli ci się nie powiedzie.

- Tej nocy - odpowiedział Pearce - uczynię dla ciebie cud.

Weaver uśmiechnął się i sięgnął po rurkę doprowadzającą pokarm. Jego oczy

pobłyskiwały jak czarne kamienne kulki, zanurzone w wielkiej misie budyniu.

- A wiec, do zmroku! - Jego obraz zniknął z ekranu.

- Robak - szepnął Harry. - Wielki biały robak w pączku róży. Draży go - ślepy, samolubny i niszczyielski.

On jest jak płód - powiedział Pearce - płód, który nie chce się narodzić. Bezpieczny w łonie matki niszczy ją nie zdając sobie sprawy że zarazem niszczy sam siebie. - Odwrócił się w stronę Christophera. - Czy jest tu obiektyw kamery?

Christopher popatrzył na ekran. - W każdym pokoju. - Podłuch?

- Wszędzie.

- Musimy liczyć na to - stwierdził Pearce - że nie przesłucha wszystkich nagrań albo że uda się odwracać jego uwagę do czasu, aż zrobimy to, co trzeba.

Harry popatrzył na Marne, potem na Pearce'a i Christophera.

- Co robimy?

- Zgadzasz się? - spytała Marna. - Chcesz zrezygnować z nieśmiertelności? Rzucić wszystko na szale?

Harry skrzywił się.

- Cóż mogę utracić? Taki świat, jak ten...

- Jak wygląda sytuacja? - szepnął Pearce. - Gdzie jest Weaver?

Marna bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Moja matka i babka nigdy się tego nie dowiedziały. Wysyła windę. Tam nie ma schodów, nie ma innych wejść. A windy są sterowane za pośrednictwem pulpitu, który ma obok łóżka. Tam są tysiące przełączników. Dzięki nim kontroluje cały budynek - światło, wodę, powietrze, ogrzewanie i dostawy żywności. Może wypuścić trujące albo obezwładniające gazy, albo płonąca benzynę. Może detonować ładunki wybuchowe nie tylko tu, ale i w Kansas City albo w Topece, może też odpalać rakiety w kierunku innych rejonów. W żaden sposób nie można się do niego dostać.

- Ty się dostaniesz - szepnął Pearce.

Oczy Marny rozbłyły.

- Gdybym tylko mogła wziąć ze sobą jakąś broń... Ale w windzie jest aparatura kontrolna, wykrywacze magnetyczne i fluoroskopowe.

- Nawet gdybyś przemyciła nóż - powiedział Harry marszcząc brwi - nie byłabyś w stanie zadać mu śmiertelnego ciosu. A poza tym, nawet jeżeli nie może się poruszać, to musi mieć niezwykle silne ręce.

- Być może jest pewien sposób - rzekł Pearce. - Jeżeli uda się nam znaleźć kawałek papieru, to Christopher ci napisze.

Panna młoda czekała przy drzwiach windy. Była ubrana w białą satynową suknie i stare koronki, zarzucone na głowę jak welon. Przed ekranem w salonie, w wielkim, brązowym wyściełanym fotelu siedział Pearce. O jego kościste kolano, na wpół leżąc na podłodze; opierał się Christopher.

Ekran rozjarzył się i ukazał się na nim Weaver, wyszczerzony w uśmiechu

skretyniałego bożka.

- Jesteś niecierpliwa, Marno. Ciesze się, z takim zapalem pragniesz się rzucić w ramiona swego oblubieńca. Oto twój powóz weselny...

Z cichym sykiem otworzyły się drzwi windy. Panna młoda weszła do kabiny. W chwili, gdy drzwi się zamykały Pearce wstał, odsuwając lekko na bok Christophera i rzekł:

- Szukasz nieśmiertelności, Weaver, i uważasz, że ją zdobyłeś. Ale to, co osiągnąłeś, to tylko śmierć za życia. Pokaże ci prawdziwą nieśmiertelność:

Kabina windy ruszyła w dół. Opadała przy akompaniamencie marsza weselnego z Lohengrina. Wykrywacze obszukały narzeczoną i nie znalazły nic metalowego. Winda zaczęła zwalniać. Gdy zatrzymała się, drzwi przez chwilę pozostały zamknięte, a potem otworzyły się ze zgrzytem.

Zaduch rozkładu nappełnił cabinę. Początkowo panna młoda cofnęła się gwałtownie, potem jednak wyszła z windy. Swego czasu pokój ten był cudem mechaniki - nierdzewną, stalową macicą. Pokój, niewiele większy od gigantycznego, pneumatycznego materaca znajdującego się w centrum, był całkowicie zautomatyzowany. Termostaty utrzymywały w nim temperatura na poziomie ciepłoty krwi. Pożywienie docierało tu bez udziału człowieka za pośrednictwem rurek prosto z sal przygotowawczych. Zainstalowano wodne spryskiwacze, które miały spłukiwać brud i odchody do kolektorów nieczystości, umieszczonych pod samymi ścianami. Spryskiwacz umieszczony nad głową powinien był obmywać leżącą na materacu istotę. Naokoło posłania stał skomplikowany pulpit kontrolny, przypominający stół gry gigantycznych organów wyposażony w dziesiątki tysięcy klawiszy i przycisków. Bezpośrednio nad materacem, w suficie, zamontowany był ekran.

Kilka lat temu, najwidoczniej na skutek jakichś drobnych ruchów skorupy ziemskiej, pękła rura doprowadzająca wodę. Oczyszczające spryskiwacze przestały działać, a lokator tego pokoju albo bał się, że wrogowie dowiedzą się o jego kryjówce, albo już mu nie zależało na czystości.

Podłoga zasłana była rozkładającą się żywnością, puszkami i opakowaniami, odchodami. Gdy panna młoda weszła do pokoju, olbrzymie stada karaluchów rozbiegły się, przestraszone jej obecnością. Myszy w popłochu uciekły do swoich kryjówek. Panna młoda podniosła długą suknię z białej satyny wyżej ud. Odwinęła cienką, nylonową linke okręconą wokół pasa. Na jej końcu zrobiona była pętla. Potrząsnęła nią kilkakrotnie, tak, że pętla zwisała swobodnie.

Widziała, że Weaver wpatrzony jest w ekran nieomal w hipnotycznym napięciu. Pearce mówił:

- Starzenie się nie jest chorobą ciała, ale psychiki. Umysł zaczyna się męczyć i to właśnie sprawia, że ciało umiera. Swą odporność na śmierć Cartwrightowie tylko w połowie zawdzięczają swojej krwi, ta druga połowa to ich niezłomna wola życia.

Masz sto pięćdziesiąt trzy lata. Opiekowałem się twym ojcem, który umarł przed twoim przyjściem na świat. Nieświadomie zrobiłem mu transfuzję z krwi Marshalla Cartwrighta.

Weaver szepnął:

- Ale to znaczy, że masz... - Jego głos był piskliwy, wysoki, nie brzmiał już jak głos boga. To, że wydobywał się z takiej masy cielska, sprawiało komiczne wrażenie.

- Prawie dwieście lat - odparł Pearce. Jego głos był mocniejszy, głębszy - to już nie był szept. - Bez żadnej transfuzji krwi Cartwrightów, żadnego eliksiru życia. Umysł może uzyskać skuteczną kontrolę nad systemem nerwowym, nad każdą komórką wytwarzającą krew i nad ciałem.

Panna młoda pochyliła głowę, by zobaczyć ekran na suficie. Pearce wyglądał dziwnie. Był wyższy. Jego nogi były proste i muskularne. W czasie, gdy panna młoda patrzyła, pod skórą Pearce'a zaczęły rozwijać się mięśnie i tkanka tłuszczowa, wzmacniając ją, wygładzając zmarszczki. Kości twarzy pokryły się młodym ciałem i skórą. Jedwabiste, białe włosy pociemniały i stały się gęstsze.

- Zastanawiasz się, dlaczego byłem stary - powiedział Pearce mocnym, dźwięcznym głosem. - Bowiem tej wiedzy nie można wykorzystywać tylko dla siebie samego. Uzyskuje się ją dając, nie biorąc.

Jego zapadnięte powieki wypełniły się, pojaśniały i otworzyły. Pearce spojrzał na Weavera - wysoki silny i wyprostowany - nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat. Na jego twarzy malowała się uspiońska moc - ale moc poskromiona, pod kontrolą. Weaver cofnął się gwałtownie. Oczy Weavera wyszły z orbit. Odwrócił głowę w stronę panny młodej. Harry rzucił woalkę i lekko rozkołysał linkę, trzymając ją w dwóch palcach. Pierwszy rzut musiał być celny, mogło już nie być szansy na drugi. Jego palce, palce chirurga, były zwinne, ale nigdy dotąd nie rzucał lassem. Christopher wyjaśnił mu, jak to się robi, ale nie miał możliwości zrobić nawet jednej próby.

Jeżeli zostanie przyciągnięty w zasięg tych potężnych, nalanych ramion, ich uścisk go zmiażdży.

Zaskoczony Weaver uniósł głowę i jego ręka gwałtownie skoczyła w stronę pulpitu. Harry rzucił linkę. Pętla zacisnęła się na szyi Weavera.

Harry szybko owinął łąso kilkakrotnie wokół przedramienia i pociągnął je mocno. Weaver szarpnął się do tyłu, zaciskając pętle jeszcze ściślej. Cienka linka całkowicie zniknęła w fałdach tłuszczu na karku. Palce Weavera szarpnęły je, rozdzierając skórę, jego cielsko miało się na materacu. „Mam - przemknęła przez głowę Harry'ego szalona myśl - na końcu swej wędki Nieśmiertelnego - wielkiego, białego wieloryba, który walczy, chce się wyswobodzić i żyć wiecznie, pluskając się w tych pneumatycznych falach”. To było jak koszmar, niewiarygodny sen.

Weaver jakimś straszliwym wysiłkiem zdołał się obrócić. Jego ręce były teraz zacisnięte na linie. Podźwignął się na klęczki i zaczął przyciągać łąso, wlokąc Harry'ego w stronę materaca. Oczy zaczęły wyłazić mu z orbit.

Harry wbił obcasy w podłogę.

Weaver uniósł się jak wyskakujący z wody wieloryb i stanął na równych nogach, bezkształtny i potworny, z twarzą, która purpurowiała coraz bardziej. Aż wreszcie serce nie wytrzymało, całe ciało zwiotczało nagle i opadło znów na materac, na którym spoczywało prawie trzy czwarte wieku.

Harry machinalnie odwinął linkę z dłoni. Werżnęła się głęboko w ciało, ze skaleczenia sączyła się krew. Gdy wypuszczał sznur, nie poczuł nic. Zamknął oczy i zadygotał.

Po jakimś czasie usłyszał, że ktoś go woła:

- Harry!, Harry! - Był to głos Marny. - Co z tobą? Harry, prosze!

Odetchnął głęboko.

- Tak, tak, wszystko w porządku.

- Podejź do pulpitu - powiedział młody człowiek, który kiedyś był Pearcem. - Musisz znaleźć właściwe przyciski, powinny być oznakowane. Musimy uwolnić babkę i matkę Marny. A potem będziemy musieli się stąd szybko wynieść. Marshall Cartwright czeka na zewnątrz i mam wrażenie, że zaczyna się niecierpliwić.

Harry skinął głową, ale nie ruszał się z miejsca. Trzeba będzie zebrać całą siłę ducha, by wyjść na świat, w którym nieśmiertelność jest raczej faktem, a nie marzeniem.

Będzie musiał się oswoić i z tym, i z wynikającymi stąd problemami.

Problemami, które będą przekraczać jego wyobraźnię. Ruszył przed siebie i zaczął szukać.

przekład: Sławomir Kędzierski